AS



Nr. 34.
20 PAŹDZIERN. 1935
CENA 40 GROSZY

Abisyński „sex-appeal"

Dwie kobiety z Harraru, miasta najpiękniejszych Etiopek.

NASZ WIELKI KONKURS NA NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.



„Ziuta“ — Drohobycz.



„Lublinianka“.



P. Henrysia — Warszawa.

Już na kalendarzu ukazał się 15-ty październik, stanowiący w naszym konkursie ważną datę. Wrota do „świątyni uśmiechu“ zamknęły się wprawdzie, ale mimo to w dalszym ciągu będą się ukazywać te uśmiechy, które przysłano nam przed wspomnianą datą. Jury „uśmiechowe“ spędza bezsenne noce, otoczywszy się wszystkiemi fotosami i kładąc każdy uśmiech na wagę sprawiedliwości, aby komuś nie stała się krzywda. Sędziom śnią się po nocy uśmiechnięte buzie, oni sami jednak stają się coraz smutniejsi, gdyż zadanie nie jest łatwe.

Jak zwykle, Czytelnicy nasi znajdą kupon na stronie 26.



„Geha“ — Lwów.



„Wacek“ — Lwów.



„Feha“ — Lwów.



P. Piotr Marjusz Ł. — Warszawa.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-6
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 34 **Niedziela 20 października 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 34-GO:



Nil — rzeka, która tysiąckrotną odegrała rolę w starożytności, staje się znów ośrodkiem zainteresowania polityki europejskiej spowodu zatargu włosko-abisyńskiego. Wypływające z jeziora Tana, położonego na północnym-zachodzie Abisynji, Niebieski Nil jest niejako kluczem położenia gospodarczego i politycznego Sudanu i Egiptu. Poza tem znaczeniem praktycznem, Nil jest jedną z najpiękniejszych rzek świata, a wody jego nie napróżno otrzymały nazwę »niebieskich«, gdyż posiadają naprawdę kolor nieba. Na zdjęciu naszem widzimy krajobraz z nad górnego Nilu, po którego wodach majestatycznie płynie żaglówka.



KWIATY ETJOPJI.



Miasto Harrar słynne jest zarówno z najstarszego meczetu jaki posiada architektura mahometańska, jak również z pięknych kobiet, po które przybywają karawany z dalekich stron cesarstwa.

Dziś, gdy oczy całego świata zwrócone są na Abisynję, automatycznie niejako nasuwa się pytanie, jakim psychologicznym cechom zawdzięczają Abisyńczycy swą niezrównaną nawet wobec najbardziej morderczych i nowoczesnych broni — odporność, wytrzymałość i dzielność w boju? Jak u większości ludów prymitywnych, tak i u Abisyńczyków kobiety są nieraz w swej roli społecznej bardziej czynne, jak w narodach cywilizowanych, one też jak dawne Spartanki, wychowują dzieci na dzielnych wojowników. Należy jednak rozróżniać w Abisynji kilka typów zależnie od ras i tak np. kobiety ze szczepu Gala posiadają najpiękniejszą budowę ciała, noszą włosy przystrzyżone à la garçonne, chód ich jest majestatyczny. Kobiety „szankala" wywodzą się z dawnych niewolników, są brudne, brzydkie i po większej części używane są do ciężkich posług. Nadwyraz ciekawem miastem, jeżeli chodzi o kobiety jest Harrar, którego nazwa oznacza „miasto kobiet". Zarówno miasto, jak i prowincja Harrar, należą do najdzikszych w Abisynji, a dopiero od końca XIX wieku okolice te zostały przez cesarza Menelika zdobyte i poddane wpływom miejscowej oczywiście, abisyńskiej cywilizacji.

Stanowisko kobiety abisyńskiej jest poniekąd uprzywilejowane w odróżnieniu od służalczego i niewolniczego stanowiska kobiet Wschodu. Wyjątkową tę pozycję, datującą się jeszcze od czasów królowej Saby (a więc jeszcze w X-tym wieku przed Chr.), potrafiła kobieta etjopska w długim pochodzie wieków utrzymać w całej pełni, stojąc stale na straży swoich praw.

Przypatrzmy się nieco bliżej kobietom abisyńskim, które wraz z całym swoim egzotycznym narodem stoją obecnie w centrum światowego zainteresowania.

Aleksandra Dabbert, lekarka i publicystka, pochodząca z Rosji, a zamieszkująca od szeregu lat stolicę Abisynji, Addis Abebę — skreśla nam na podstawie autopsji ciekawe, a tak mało znane szczegóły, dotyczące kobiety etjopskiej.

Zacznijmy od oznak zewnętrznych a więc od ubioru i kosmetyki.

Kobieta abisyńska nie uznaje stroju europejskiego, uważając go za nieprzyzwoity. Swój narodowy strój, spływający w bogatych fałdach — nosi ze swoistym wdziękiem. Biały kwef, otulający głowę pozostawia tylko wąski otwór, poprzez który przezierają piękne, mądre oczy. Głowę ocienia filcowy, szary kapelusz, o szerokim rondzie, podszytym zielonym materjałem. Ozdobę stanowi łańcuszek lub sznureczek z zawieszonym na szyi srebrnym czy złotym krzyżykiem. Noszenie pierścionków uchodzi za niewłaściwe.

Kosmetyka Abisynki polega na szminkowaniu oczu niebieskim kamieniem, tatuowaniu dziąseł, szyi, ramion, sadzą z lamp i farbowaniu paznogci henną. Masło uchodzi tam za środek uniwersalny i kosmetyczny. Noworodki po przyjściu na świat naciera się roztopionem masłem, a dopiero potem zawija w pieluchy. Masłem nacierają też tamtejsze kobiety swe krucze, kędzierzawe włosy, co ma z jednej strony chronić rzekomo przed rozmaitego rodzaju żyjątkami, z drugiej wpłynąć na gładkość i podatność włosów w układaniu rozmaitych fryzur. Tej ostatniej bowiem własności zazdroszczą bardzo kobietom europejskim i sądzą, że nabędą je drogą maślanej kuracji. Ponieważ kobiety z ludu nie mogą sobie pozwolić ze względu ekonomicznych na częste nacieranie włosów masłem — fryzury ich przybierają nieraz zielonawy połysk, przyczem wydzielają specyficzną woń zjełczałego masła.

Gdy dziewczyna abisyńska nazwana pieszczotliwie „mamehti" zaczyna chodzić — przywdziewa się ją w długą, haftowaną na przedzie koszulę o długich rękawach. We włoski, zabawnie nakształt wianuszka wokół golonej główki ułożone, — wplatają matki muszelki, srebrne wianuszki, nietyle dla ozdoby, ile raczej dla odczynienia uroków. Po 8 latach uchodzi już „mamehti" za panienkę i podczas przejażdżki konnej na mule towarzyszy jej przynajmniej dwóch służących, biegnących po prawej i lewej stronie muła. Jeden z nich trzyma olbrzymi parasol rozpięty nad amazonką, której oblicze jest już zakwefione. Szeroki kapelusz i czarny „burnus" (rodzaj płaszcza bez rękawów) dopełniają malowniczego stroju. — Dziewczęta lepszych rodzin mają nogi obute w lekkie rzymskie sandały. Uroczo wyglądają „mamehti" przybrane podczas świąt w śnieżnobiałe sukienki, na które przerzucają delikatnie tkaną i kunsztownie wyszywaną narzutę w rodzaju togi, t. zw. „kutta". Na tle tych szat pięknie odbijają się ich ładne, śniade twarzyczki. Na szyi swych córek zawieszają matki najrozmaitsze, modlitwą zapisane amulety w czerwonych i zielonych skórzanych torebkach. Częstokroć dodają jeszcze dla lepszego skutku suszone zioła, pta-

Poniżej: Ulubiona tancerka-niewolnica, cesarza Haile Selassie, Ugandha Asura, która ostatnio po popadnięciu w niełaskę u Negusa, uciekła do Włoch otrzymując engagement do różnych teatrów.



sie kości, lwie pazury, itd. co ma stanowić ochronę przed chorobą i nieszczęściem.

W 60 dniu po ich urodzeniu, nadają w Abisynji dziewczętom piękne i poetyczne imiona. „Słoneczko złote" — „Złoty deszczyk" — „Pyłek złoty" — „Złota opaska" — „Zapach raju" — „Winnica" — tak i tym podobnie brzmią nazwy księżniczek i wysoko urodzonych panien, które się tytułuje „Woizero" (dama, pani). Ale i kobiety z ludu mają eufoniczne nazwy jak „Tarunesch" („Ślicznotka"), „Ababesch" („Kwiatuszek"), „Elfinesch" („Mateczka") i t. p.

W piątym roku życia rozpoczyna „mamehti" naukę czytania, które udziela jej w domu kapłan domowy starą metodą. Chłopcy i dziewczynki powtarzają przez 2—3 godzin za nauczycielem i wodzą paluszkami po pergaminie ręcznie pisanej biblji. Opanowanie przeszło 200 znaków amharyjskiego alfabetu nie jest rzeczą łatwą. I aczkolwiek małe dziewczęta znają psalmy Dawida i wiele miejsc z Ewangelji na pamięć — to jednak czytanie nie jest tam dobrem powszechnem. Szkolnictwo abisyńskie pozostawia jeszcze dużo do życzenia, aczkolwiek ostatnio europejskie reformy coraz bardziej wciskają się do abisyńskiego królestwa.

Do ulubionych zajęć kobiety etjopskiej należy przędzenie cienkich włókien bawełny domowego chowu, do której to pracy zaprawiają się od najwcześniejszych lat małe dziewczęta. Tak samo uczą się małe „mamehti" wcześnie wyplatania najrozmaitszych koszyków, z naturalnej i malowanej wikliny, służących do przeróżnych celów. Każda prowincja ma swe własne wzory, komponowane przez kobiety, po których się je też poznaje.

Wielką rolę w życiu Abisynki odgrywa religja. Jak wiadomo panującą religją jest chrześcijańska (Abisyńczycy są monofizytami i należą do obrządku koptyjskiego). Możliwe, że obowiązujące częste posty przyczyniły się do wyrobienia charakteru, jakim się odznaczają Abisynki. Posiadają one dar milczenia, zachowywania tajemnic — tak rzadki skądinąd u kobiet. Umieją przytem panować nad swemi uczuciami i nie okazywać ich na zewnątrz, toteż czynią wrażenie zrównoważonych, spokojnych a nawet wytwornych.



Na prawo: Cywilizacja europejska przenika do Abisynji przedewszystkiem zapomocą kin i barów amerykańskich.

Sporty, tańce, palenie papierosów itp. uważają za rozrywki nieprzyzwoite.

W Abisynji panuje zwyczaj wydawania dziewcząt w bardzo młodym wieku zamąż, przyczem narzeczony płaci rodzicom narzeczonej pewną sumę, a pannę młodą obdarza podarunkami stosownie do swego stanu majątkowego — odzieżą, mułami, niewolnikami. (Nominalnie niewolnictwo zostało w 1923 r. pod karą śmierci zniesione). Jeszcze przed ślubem wyodrębnia się majątek żony i spisuje prawomocny kontrakt przy świadkach. Jeśli przychodzi do rozwodu, co jest prawie-że regułą w Abisynji — jest to bowiem typowy kraj rozwodów — zmuszony jest mąż uiścić żonie jeszcze połowę majątku, jakiego się podczas trwania tego małżeństwa dorobił. Stąd też wiele kobiet po kilkukrotnych rozwodach posiada wielkie majątki, a Abisynkę uważa się za materjalistkę, co jednak całkowicie słusznem nie jest. Jest ona wprawdzie dobrą kalkulatorką, ale nie możemy jej winić za brak serca, albowiem zarzut ten w równej mierze skierować można by do abisyńskich małżonków. Są bowiem i przykłady harmonijnego współżycia Abisynek ze swymi europejskimi mężami i dozgonnej wierności, jeżeli małżeństwa te oparte zostały na wzajemnym szacunku i przywiązaniu.

Naogół jednak pełne intryg i zatargów życie sprawia, że kobiety abisyńskie wyznają się znakomicie w rozmaitych finezjach prawniczych i swą biegłością zadziwiają Europejczyków. Nie posługują się w swych procesach nigdy adwokatem, a zawsze wychodzą obronną ręką.

Miłość macierzyńska jest u nich silnie rozwinięta. Nie czynią żadnej różnicy między dzieckiem ślubnem a nieślubnem, otaczając jedne i drugie tą samą opieką. Tak samo nie czynią Abisyńczycy różnicy między chłopcem a dziewczynką, darząc je jednakową miłością. Ze względu na swój pozytywny i pełen życzliwości stosunek do dzieci, służba abisyńska chętnie przyjmowana bywa w europejskich domach do piastowania dzieci.

Bez względu na swój stan majątkowy — karmi Abisynka zawsze sama swe dzieci i to nieraz do roku. Ubogie noszą swe maleństwa przywiązane kwadratową chustką na grzbiecie. Liczne dzieci. — które ochotnie na świat wydają — zabierają ze sobą, wstępując powtórnie w nowe związki. Dzieci ponad lat 7 mają prawo decydowania czy chcą iść za matką, czy pozostać przy ojcu.

Kobiety abisyńskie nie rozumieją, że są na świecie takie, które unikają świadomie potomstwa; bezdzietność jest klątwą w ich oczach.

Staropanieństwo z jego balastem śmieszności nigdy u nich nie istniało i nie istnieje, ponieważ stanowisko kobiety abisyńskiej jest zbyt wolne i samoistne, a swoboda w życiu miłosnem szeroka i nieskrępowana, aczkolwiek niepozbawiona poezji.

Nikt z osób trzecich nie ma tam prawa ingerencji, nikt też tego nie robi, jedynie kobiety same stanowią o sobie i o swym losie.

Najlepiej charakteryzuje oczywiście kobiety abisyńskie fakt, że ostatnio córki wybitnych rodów krajowych wyruszyły na front, aby walczyć wespół ze swymi mężami. Tak uczyniła córka znanego naczelnika plemienia abisyńskiego, Wajzero Szamerga Gaby, stając na czele armji 15-tysięcznej, tak też małżonka generała abisyńskiego Hapte Michaela, Wajzero Asagedisz. Poza temi wypadkami udziału kobiet w wojnie, żona niejednego żołnierza i bojownika podążyła za nim na front.

Tak więc współczesne Abisynki przypominają dawne Spartanki, które nie cofały się przed największem nawet poświęceniem, aby bronić ojczyzny.

Felicja Stendigowa.



Trzy piękności harraryjskie w przeciwieństwie do kobiet europejskich ukrywają się przed aparatem fotografa.



W kole: Cesarzowa abisyńska małżonka Haile Selassie w stroju koronacyjnym.

JAK BĘDZIEMY MIESZKAĆ W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI.

WYWIAD ZE SŁYNNYM ARCHITEKTEM BERTRANDEM ARNOUX.

W eleganckiej dzielnicy will i małych pałacyków, Passy, w Paryżu znajduje się otoczony drzewami kasztanowemi nowoczesny dom. Wchodzimy do niego, otwierając ciężkie, w żelazie kute drzwi. W obszernym hallu wita nas znakomity paryski architekt, Bertrand Arnoux. Oprowadzając nas gościnnie po wnętrzu domu zbudowanym według jego planu, opowiada niezwykle ciekawe fantazje architektoniczne, które będą zrealizowane w najbliższej przyszłości. Po obejrzeniu wykwintnego urządzenia pokoi





Na lewo: Hotel Homilton na Bermudach posiada wspaniałą pływalnię, z której miło jest korzystać w łagodnym klimacie tych wysp zwanych krainą wiecznej wiosny. — Powyżej: Oto jak wygląda miasto przyszłości w fantazji współczesnego malarza.



Willę wicehr. de Noailles w okolicach Paryża można uważać za wzór dobrze urządzonego współczesnego domu. Pływalnia z przyrządami gimnastycznemi zbudowana jest według wszelkich przepisów higjeny.

parterowych i pierwszego piętra, przedostajemy się przez labirynt małych schodów do bibljoteki gospodarza. Szklana ściana dzieli pokój od klatki, służącej dla hodowli drobiu, na lewo dostrzegamy mały ogród zimowy, z którego wyjście prowadzi na wielki taras zmienony w maleńki ogródek zdobny w kwietniki, wśród których wysypano piaskiem maleńkie ścieżki. Ogródek, mieszczący się na tarasie trzeciego piętra stanowi niejako preludjum do wiszącego ogrodu, rozplanowanego na czwartem piętrze budynku. Olbrzymi taras o przestrzeni 140 m², zamieniono w sad i ogród warzywny. Pan Bertrand opowiada, iż dla urządzenia tego ogrodu zwieziono 35 tonn ziemi.

— Już od 4-ch lat pielęgnujemy z żoną te drzewa owocowe i ogród warzywny, dostarczający nam obficie sałaty, pomidorów, zielonego groszku i rzodkiewki. Z 12-tu młodych gruszy i jabłoni, rosnących na dachu, mam już około 15 kg owoców rocznie, a te dwa drzewa wiśniowe dostarczają mi już 20 kg najlepszego gatunku wiśni, dwa ule natomiast już 15 kg miodu.

Dom p. Arnoux jest zapewne jedynym w Paryżu, posiadającym na dachu ogród warzywny, pasiekę, sad i hodowlę drobiu.

Usiadłszy w cieniu drzew, rosnących na dachu tego nowoczesnego domu patrzymy na wykwintną paryską ulicę.

— Za 50 lat — mówi gospodarz — zmieni się obecna archi-

Poniżej: Nowoczesny blok domów w Berlinie-Lichtenfelde bez klatki schodowej. — Dostęp do mieszkań z zewnętrznych balkonów i schodów.



tektura Paryża całkowicie. Dziś chodzimy po ulicy wśród domów zbudowanych dla komunkacji pieszej. Za 50 lat prawdopodobnie, każdy mieszkaniec będzie miał swój samolot, a wejścia do domów będą tak urządzone, iż lotnik będzie mógł lądować na tarasie u wejścia do swego mieszkania. Rozwój lotnictwa zmieni gruntownie wygląd miast przyszłości. Uwaga architektów ześrodkuje się w przyszłości na dachach domów, które ukształtowane będą dekoracyjnie a służyć będą nie jako parasol, jak obecnie, lecz jako piękny kapelusz i wygodne lotnisko.

— Czy myśli pan o masowym rozwoju architektury drapaczy nieba?

— Czemużby nie? Napewno powstaną miasta lotnicze, gdyż człowiek jest stworzeniem towarzyskiem. Drapacze nieba staną w odległych dzielnicach, lub poza miastem, by nie przeszkadzać lotniczej komunikacji, która rozwinie się w sposób fantastyczny. Odległość nie będzie grać żadnej roli. 200 lub 300 km znaczyć będzie tyle, co dziś mały kurs autobusowy.

W architekturze nastąpią poważne zmiany. Odnosi się to również do drzwi. One zawsze przeszkadzają w urządzeniu wnętrza. Dlaczego nie możnaby ich umieścić w podłodze, lub w suficie, aby jaknajmniej zajmowały miejsca?

— A czy zmieni się system ogrzewania domów?

— Niewątpliwie. Należy się spodziewać tysiąca możliwości. Np. skoro znajdzie się materjał budowlany małoczuły na temperaturę zewnętrzną, wtedy będzie można magazynować ciepło we wnętrzu domu. W zimie ściany przesiąkać będą powoli chłodem. Trwać to będzie przez 6 miesięcy zimowych, natomiast w lecie promienie słoneczne ogrzewać będą mury od strony zewnętrznej, przedostając się powoli do wnętrza domu i tworząc w ten sposób zapasy ciepła na przyszłą zimę. Gdyby wynaleziono taki mało wrażliwy na temperaturę materjał, wtedy zniknąłby z powierzchni życia problem ogrzewania domów. Zapowiedzią zużytkowania ciepła słonecznego są już dziś używane we Francji zwierciadła ustawiane na dachach domów, chwytające promienei słoneczne i przenoszące je zapomocą odpowiednich zestawień zwierciadeł do wnętrza domu. W ten sposób przez nieduży otwór w dachu i odpowiedni system zwierciadeł, oświetlać możemy jasnem dziennem światłem wnętrze domu. Może również i przemysł elektrotechniczny rozwinie się w przyszłości tak wysoko, iż można będzie chwytać z powietrza atmosferyczną elektryczność i jej używać do produkcji światła i siły.

Że marzenia nasze nie są wzięte z krainy bajek, tego dowodem codzienna rzeczywistość. Niemal każdy dzień przynosi nam nowe techniczne udogodnienia jak: ciepłe lub chłodne powietrze, tłoczone zapomocą odpowiednich wentylatorów do wnętrz mieszkań czy lokali, chodniki ruchome i schody i cała ta masa przedmiotów, służących do codziennego użytku, których dostarcza nam dzisiejszy przemysł elektrotechniczny, zmniejsza z dniem każdym nasz wysiłek fizyczny do minimum.

mdd.

Hal-la-li!..



Na lewo: Rozdział „łupu" między sforę psów, które brały udział w biegu myśliwskim w Wolicy pod Dębicą.

Jesień jest dla jeźdźców najmilszym bodaj sezonem. Z torów wyścigowych i terenów konkursowych wychodzi się na opustoszałe pola i czerwieniące się złotem jesieni lasy.

Jesień to sezon biegów myśliwskich za lisem. Wprawdzie u nas „prawdziwe" polowania konne na lisa są bardzo rzadkie, ale instytucja biegów myśliwskich za psami utrzymuje się w całej pełni, ściągając jesienią liczne rzesze



Na lewo: Uczestnicy par-force'u w Wolicy podczas przejazdu w trudnym terenie.

zwolenników sportu jeździeckiego. Ostatnio odbył się piękny bieg myśliwski w Wolicy pod Dębicą w majątku p. Heleny Płockiej. Bieg ten był tem piękniejszy, że wziął w nim udział korpus oficerski 5 Pułku Strzelców Konnych, ze swoją sforą ogarów myśliwskich, które prowadziły śladem „lisa" uczestników biegu w zawrotnem tempie przez pola i lasy. Obok zamieszczamy kilka pięknych zdjęć z tej imprezy.



Na lewo: Kawalkada jeźdźców i psów w powrotnym marszu przez Wisłokę.

WAMPIRY...

Niesamowity wygląd nietoperza, jego podobieństwo zarówno do ptaka jak i myszy, nocny tryb życia, bezszelestny lot, zjednały mu tak złą opinję w oczach człowieka, że stał się on niemal symbolem zła, jak to widać na starych malowidłach, gdzie postać szatana przedstawiona jest ze „skrzydłami" nietoperza. Istnieje wiele zabobonów, przez które to niewinne stworzenia niejednokrotnie ponoszą okrutną śmierć. Dziś jeszcze nad drzwiami swoich domostw niektórzy wieśniacy przybijają żywcem nietoperza, wierząc, że tym sposobem uchronią się od zła. Nie brak przesądów, że nietoperze wplątają się we włosy lub po spiżarniach wyjadają słoninę, wyrządzając znaczne szkody. Na Kurpiach przy laniu kul i śrutu w roztopiony ołów wrzucano wątróbkę i serce nietoperza, wierzono bowiem, że tym sposobem osiągnąć można celność strzału. Te głęboko zakorzenione przesądy przyczyniają się w znacznej mierze do tępienia nietoperzy. Szczególnie podzwrotnikowe nietoperze-wampiry, pijące krew, nabrały w oczach człowieka upiornych wprost kształtów. Z dawnych czasów pochodzi wierzenie, że wampir to duch zmarłego, który nocą w postaci olbrzymiego nietoperza opuszcza swój grób, aby nakarmić się krwią ludzką.

W rzeczywistości nietoperz noszący nazwę wampira (Vampyrus spectrum), zamieszkujący południową Amerykę, a w szczególności Gujanę, nie zasługuje na tak złe o nim mniemanie. Zwierzę to posiada brzydki pyszczek z błoniastym wyrostkiem na nosie, co potęguje jeszcze jego brzydotę. Uzębienie jego wygląda groźnie, składa się bowiem z licznych drobnych, lecz bardzo ostrych ząbków. Pożywienie jego jednak stanowią owady i owoce, krew zaś zwierząt ssących wypija tylko bardzo rzadko.

Są jednak inne gatunki nietoperzy, które wypijają krew ptaków, zwierząt ssących, a także i człowieka i dla nich to utarła się nazwa wampirów. Żyją one w lasach Ameryki, przebywając w dziuplach drzew lub kryjąc się pomiędzy szerokiemi liśćmi palm lub innych roślin o dużych liściach, niekiedy znajdują schronienie w rozpadlinach skalnych lub opustoszałych budynkach. Pożywienie ich stanowią głównie owady, jak: ćmy, muchy, chrząszcze, w braku jednak tego pokarmu rzucają się niekiedy na pogrążone w śnie ptaki lub zwierzęta ssące a także i człowieka. Wyłącznie niemal krew pijącemi są nietoperze Desmodus i Diphylla.



Poniżej: Wspaniały okaz żywego wampira, który przywiózł do Paryża jakiś marynarz francuski i wystawił na sprzedaż za cenę 450 franków.

O wampirach oddawna krążyło wiele fantastycznych opowieści. Zwierzęta te według jednych miały gromadnie napadać całe karawany zwierząt jucznych, w niektórych okolicach zagrażały nawet człowiekowi tak, że nie był on pewien swego życia. Bezszelestnie miały one okrążać śpiące zwierzęta i jakgdyby hypnotyzować je wachlowaniem swoich szerokich „skrzydeł", pogrążając swe ofiary w sen jeszcze głębszy, co jednak inni odrzucają jako fantastyczne baśnie. Według niektórych podróżników wampiry zjawiają się niekiedy w tak znacznych ilościach, że zwierzęta domowe, jak bydło czy konie nie mogą zaznać spokoju, ponieważ nietoperze wysysają z nich krew lub też trzymają się tak mocno ich grzbietów, że stają się przyczyną powstawania ropiejących ran, w których muchy składają swe jajka, powodując bolesne owrzodzenia. Ubytek krwi z rany zadanej przez nietoperza jest zwykle nieznaczny, chociaż niekiedy przez naruszenie naczyń krwionośnych zdarza się obfite krwawienie. Jeden z podróżników podaje, że w niektórych okolicach nietoperze krew pijące są istną plagą tak dla człowieka jak i bydła. On sam został w czasie snu ukąszony przez nietoperza w wielki palec u nogi, szyję, rękę a nawet i nos.

W rzeczywistości rany zadane przez nietoperza są powierzchowne. Prawdopodobnie najpierw nietoperz naciąga wargami skórę napadniętego zwierzęcia, a potem dopiero przecina ją swemi ostremi ząbkami i z otwartej rany wysysa ciepłą krew językiem specjalnie do tego celu przystosowanym. Czynnością tą tak są nietoperze pochłonięte, że łatwo je wtedy można złapać.

Obecnie po raz pierwszy w Europie oglądać można nietoperze-wampiry w londyńskiem Zoo. Prócz owsianej papki, którą otrzymują jako pożywienie, wypijają jeszcze codziennie w nocy po kieliszku krwi, którą chłepcą tak, jak kot mleko.

Nietoperze u nas żyjące, pospolicie gackami zwane, należą do najniewinniejszych stworzeń. Ponieważ zjadają wiele rozmaitych owadów, jak chrząszczy, ciem przeważnie wielkich szkodników, przeto ze wszechmiar zasługują na opiekę ze strony człowieka.

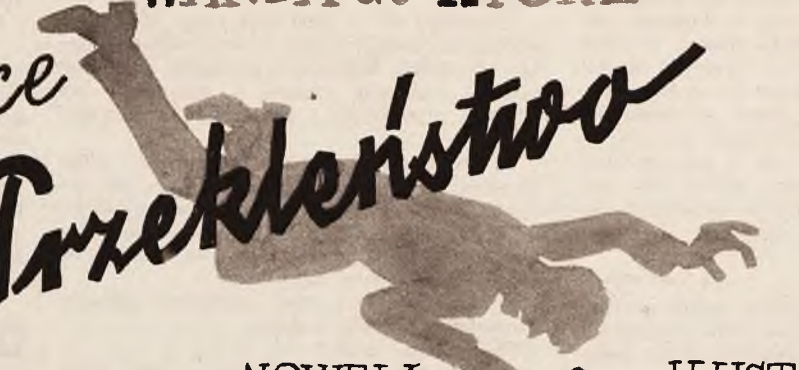
Dr. Z. Maślankiewicz.



Sztych przedstawiający wampira, który krąży w pobliżu obozu wojskowego w poszukiwaniu ofiary.

WANDA de RICHE

Milczące Przekleństwo



NOWELA ILUSTR. CHARLIE

Kiedy w pierwszych dniach maja ubiegłego roku dzienniki paryskie umieściły krótką wzmiankę o śmierci w Charenton Raymunda Deauville'a, absolwenta uniwersytetu Sorbony i syna znanego w szerokich kołach bankiera, zaledwie garstka osób zdawała sobie sprawę ze związku, jaki zachodził między przedwczesnym zgonem nieszczęśliwego młodzieńca, a szeregiem tragicznych wypadków, których widownią był stary dom przy ulicy Fuenterrabia w Madrycie na kilka miesięcy przed wybuchem wojny światowej.

Jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że ciężka choroba młodego Deauvillea była następstwem zamachu samobójczego, wykonanego w okolicznościach znanych i nie nastręczających żadnych wątpliwości, to jednak przyczyny nagłego upadku na duchu człowieka zamożnego, cieszącego się ogólną sympatją i beztroskiego towarzysza zabaw studenckich, wydawać się mogą niezbyt jasne, zwłaszcza, że wspomniana w dzienniku zmarłego kobieta nigdy — a przynajmniej w ostatnich pięciu latach jego życia — nie odgrywała większej roli. Przesadna i zabobonna ludność hiszpańskiej stolicy nie mogła jednak — a świadczą o tem odnośne notatki dziennikarskie — pominąć milczeniem faktu, że samobójstwo francuskiego turysty było czwartym z rzędu dramatem, jaki rozegrał się w hotelu przy ulicy Fuenterrabia w ciągu krótkiego okresu czasu i że nieszczęśliwi bohaterowie wszystkich tych dramatów targnęli się na swoje życie, względnie padli ofiarą zbrodniczych zamachów z przyczyn niedostatecznie wyjaśnionych. Terenem tragicznych wypadków był pokój z obszernym „casa de huespedes" Alonza Aparicio Mendozy, handlarza win, który kupiwszy swego czasu stary budynek na hotel za śmiesznie niską cenę, dokonał w nim świeżo pewnych przeróbek celem wykorzystania każdego metra kwadratowego swego nabytku. Fatalny pokój, oznaczony Nrem 5-tym, powstał przez zbudowanie cienkiego przepierzenia i zużytkowania obszernej niszy, którą połączono oknem ze światem zewnętrznym i jak wszystkie mieszkania w hotelowym budynku, przeznaczony był dla gości przejezdnych.

Samobójstwo Raymunda Deauville'a, które, jako oderwany fakt nie wykazuje, z punktu widzenia kryminologa, żadnych cech szczególnych, urasta do znaczenia symbolu, jeśli je oceniać, jako jedno z ogniw w łańcuchu sensacyjnych wypadków, których terenem był stary dom Aparicia Mendozy. I chociaż tło ich oraz przyczyny nadal pozastają ciemne i niezrozumiałe, okoliczność, że wszystkie ofiary uległy im w pewnym ściśle określonym nastroju, w pewnym, jakby moralnym transie, rzuca ciekawe światło na charakter samych wydarzeń. W istocie, tragedja, a raczej tragedje przy ul. Fuenterrabia są typowym i może jedynym w historji kryminalnej przykładem zbiorowego natręctwa myślowego, jako pobudki i przyczyny działania w pewnych określonych, chociaż niezbyt jasnych warunkach lokalnych.

Celem dokładniejszego zrozumienia notatek młodego desperata, ostatniego śladu, jaki pozostawił po sobie, wskazane będzie omówienie suchych faktów, poprzedzających jego dramat życiowy w oświetleniu, jakie nadały im swego czasu miejscowe dzienniki hiszpańskie. Cytujemy odnośne ustępy w porządku chronologicznym:

„Heraldo de Madrid" — 22-go stycznia 1914 r.

Wczoraj około 9-tej wieczór odebrała sobie życie przez powieszenie zamieszkała w hotelu El Sol, przy ul. Fuenterrabia, Anna Garcia Rodriguez, l. 33, rodem z Walencji. Zmarła była jedyną córką dziś już nieżyjącego sędziego, a od ośmiu lat wdową po zamożnym kupcu z Bilbao. Jak się dowiadujemy, jest ona tą samą Anną Garcia, której romantyczne małżeństwo, dokonane wbrew woli ojca, poruszyło swego czasu opinję ogółu. Powody samobójstwa nieznane".

„El Liberal" — dnia 24 stycznia, był już lepiej poinformowany:

„Zmarła w tragicznych okolicznościach Anna Garcia Rodriguez targnęła się na swe życie w przystępie dziwnego podniecenia, które zwróciło uwagę sąsiadów. Jakkolwiek nie zwierzała się nikomu, częste wzmianki o nieżyjącym od szeregu lat ojcu i krzywdzie, jaką mu wyrządziła, uciekając z domu, nasuwają podejrzenie, że powodem samobójstwa były sprawy rodzinne".

O drugim wypadku, który zaszedł w dwa miesiące później, w tymsamym dzienniku czytamy w dniu 30 czerwca:

„Wczoraj przewieziono do szpitala dla obłąkanych Henryka Golda, l. 27, przedstawiciela firmy Grün & Cie w Berlinie, przebywającego czasowo w naszem mieście i zamieszkałgo w hotelu El Sol przy ulicy Fuenterrabia. Nieszczęśliwy, który od dwóch dni nie chciał przyjmować żadnych pokarmów, zanim, jak się wyraził kilkakrotnie, nie odbędzie pokuty za swoje grzechy, przybył do Madrytu 22-go bm. w dobrym stanie zdrowia. Objawy choroby wystąpiły u niego dopiero w ostatnim czasie.

Trzecia tragedja, która z łatwo zrozumiałych powodów wywołała wielkie wrażenie, rozegrała się w tym samym pokoju w krótki czas potem. Miejcowe dzienniki omawiają ją w ten sposób. Cytuję „El Impertial" z dnia 17 maja:

„Dziś rano około dziesiątej policja zaalarmowana przez mieszkańców Fenda El Sol przy ulicy Fuenterrabia, dokonała aresztowania w pokoju Nr. 5 tegoż hotelu, chwytając prawie że na gorącym uczynku zabójstwa niejakiego Fernanda Lope Treza, lat 30, rodem z Tociny pod Sewillą. Aresztowany przybył do hotelu, aby rozmówić się z mieszkającym od kilku dni Gaetane Sabatinim, z którym łączyły go od dawna serdeczne stosunki. Niewiadomo, co zaszło między przyjaciółmi, ale kiedy huk wystrzału zwabił do pokoju służbę i gości hotelowych, znaleziono na podłodze Włocha w kałuży krwi a gościa jego, stojącego nad trupem z rewolwerem w ręku. Aresztowany przyznał się do winy".

Przyczyna zbrodni stała się jasna, kiedy w sześć dni później pojawił się w dziennikach jednobrzmiący komunikat półurzędowy:

„Władze miejscowe wpadły przypadkowo na trop niebezpiecznj szajki fałszerzy monet, którzy uprawiali od dłuższego czasu swój proceder w domu na Pasee Sta Eulalia 15 w Barcelonie. Zamordowany przed kilku dniami w hotelu El Sol Gaetano Sabatini, który bawił tu w sprawach „zawodowych", padł ofiarą jednego ze wspólników. Jeśli można wierzyć zeznaniom aresztowanego na miejscu zabójcy, przyszło między nimi do sprzeczki, wywołanej przez kategoryczne oświadczenie zmarłego, że „ma dość takiego życia i że chce o owych przestępstwach donieść policji" Zdziwiony. tem niespodziewanem wyznaniem Mendeza, próbował zrazu przekonać towarzysza o następstwach takiego kroku i nakłonić go do zmiany nagłego postanowienia, ale kiedy Sabatini w przystępstwie jakiegoś dziwnego szału zaczął miotać przekleństwa i sięgnął po nóż, aresztowany Mendoza dobył rewolweru i wystrzelił".

Trudno wyprowadzić wnioski i bawić się w dociekania. Gdybyśmy nawet przyjęli teorję jednego z publicystów, że trzy osoby. które zginęły na Fuenterrabia spędziły ostatnie dni przed śmiercią w stanie jakiejś dziwnej duchowej rozterki i niesłychanego podniecenia i że to było powodem nieobliczalnych z ich strony postępków — to nie da się zaprzeczyć, że wszystkie te osoby przybyły do Madrytu w zupełnem zdrowiu, zgoła nie myśląc o samobójstwie, a tembardziej o pokucie za jakieś grzechy z przed lat. Czynnikiem odpowiedzialnym byłby raczej — opieram się wciąż na hipotezie owego publicysty — jakiś specjalny „genius loci", którego szkodliwy wpływ ujawnił się w pomyślnych warunkach. Ale trudno, o tem dyskutować. Może dziennik Deauville'a będzie dla ludzi miłujących zagadki podstawą i pobudką do znalezienia wyjaśnienia.

Przytaczamy odnośne ustępy z dziennika:

Madryt, 23 czerwca.

A więc wracam. Przybyłem dziś do stolicy, która stanowi ostatni etap mojej turystycznej wyprawy. Czas już ochłonąć i otrząsnąć się z romantycznych mrzonek, o jakie przyprawia zawsze zwiedzanie starych ruin i pamiątek. Za kilką dni będę już znowu dawnym Rajmundem Deauville, którego triumfy miłosne na Riwierze i w Paryżu budziły zazdrość i podziw wśród ko-

legów. Tu jednak chcę jeszcze spokoju. Może dlatego zatrzymałem się nie w jakimś większym hotelu, ale zacisznym „casa de huespedes" przy ul. Fuenterrabia, w pobliżu dworca Atocha, który mi polecił jakiś przechodzeń. Budynek z wyglądu niepiękny, ale trudno mi było szukać po nocy innego. Zresztą zabawię tu przecież niedługo. Zamieszkałem w pokoju Nr. 5, na parterze. Dziwne na mnie zrobił wrażenie już od pierwszej chwili. Zdawało mi się, że weszłem do klasztornej celi. I nie omyliłem się. Hotel był rzeczywiście przed laty częścią zabudowań pobliskiego klasztoru. Sądzę, że wiadomość ta sprawiła mi przyjemność...

24 czerwca.

Spałem fatalnie. I miałem jakiś przykry sen, ale nie przypominam sobie najmniejszego szczegółu. Tylko gdzieś w głębi duszy pozostało po nim uczucie dziwnego przygnębienia i smutku. Mniejsza z tem. Cały dzień spędzę w mieście i wrócę w innem usposobieniu. Muszę spieszyć się i czerpać teraz wrażenia pełnemi garściami, gdyż obiecałem ojcu wrócić do Nizzy najdalej 30-go tego miesiąca. Już i tak dość długo bawiłem w Hiszpanji. Przyznaję jednak, że Granada, Sewilla i Toledo dały mi tyle chwil szczerego zainteresowania i zadowolenia, wprowadziły w świat tak ciekawy, że z przykrością nieledwie wrócę do zgiełku, hałasu i zabaw nowoczesnego powszedniego życia.

wieczorem, godz. 9-ta.

Zaledwie trzymam się na nogach. Przez cały dzień włóczyłem się po mieście i zwiedzałem miejscowe zabytki. Prade,, kościoły San Francisco el Grande, San Andres i San Antonio della Florida — na jeden dzień, to chyba wystarczy. Wszystko to tonie wprawdzie w powodzi nowoczesnych budynków, przepada w sieci ulic i uliczek, zadziwiających banalnością, ale od czasu do czasu zwraca uwagę jakaś sędziwa kamienica, jakiś szczegół architektury, jakaś ciekawa rzeźba. Uciekłem od zgiełku Cranvia i Callje Alcala i krążyłem dłuższy czas po starem mieście. Wróciłem do mego zacisznego „casa de huespedes". Nie czas na rozmyślanie i uwagi godne romantyka. Spać, spać... Należy mi się wypoczynek po całodziennej wędrówce.

25 czerwca.

Doprawdy, nie wiem czemu przypisać dziwne rozdrażnienie, jakie mnie ogarnia. Wstałem dziś o piątej rano, nie mogąc nad niem zapanować i od trzech godzin staram się bezskutecznie przypomnieć sobie, co mnie wyprowadziło z równowagi. Nie rozmawiałem wczoraj z nikim poza obsługującą mnie pokojówka, nie otrzymałem żadnej przykrej wiadomości, nie oczekuję żadnego nieprzyjemnego listu, a jednak... a jednak odnoszę wrażenie, że popełniłem jakieś wielkie przestępstwo. Cóż u djabła! Przecież nie jestem bandytą i nie układam zbrodniczych planów. To zapewne skutki zmęczenia, reakcja po gorączkowem życiu, jakie pędziłem w ciągu ostatnich kilku tygodni. Tak, trzeba skończyć z tą włóczęgą! Ostatecznie, co może dać nowy Madryt mnie, który źle czuję się nawet w Paryżu? Pomówię z gospodarzem i zapytam się, czy pozostało mi coś ciekawego do zwiedzenia. Nie lubię kroczyć drogami, wyznaczonemi przez przewodniki.

wieczorem; godz. 10-ta.

To ciekawe... Zagadka w bezpośredniem mojem sąsiedztwie? Nigdybym się nie spodziewał czegoś podobnego. Słowa mego gospodarza zainteresowały mnie w najwyższym stopniu. Muszę widzieć ten papier, muszę przeczytać przynajmniej jego kopję! List, czy też prośba jakiegoś zakonnika? W istocie, mówiono mi już wczoraj, że budynek hotelowy wchodził w skład dawnego klasztoru Dominikanów. Nie przypuszczałem jednak, aby ten romantyczny szczegół miał jakieś istotne znaczenie. I dopiero dzisiaj, z ust właściciela i gospodarza El Sol, jowialnego jegomościa wieku 40—45 lat, o miłej twarzy i inteligentych a nawet przebiegłych oczach, dowiedziałem się, że hotel ma również swoje zabytki... co więcej swoje tajemnice.

Poznałem się z nim dziś rano. W biurze powitał mnie pan Lopez w swej własnej osobie. Po kilku banalnych uwagach na temat pogody, ciężkich czasów i stosunków we Francji, rozmowa zeszła na osobliwości miasta.

W tej dziedzinie gospodarz mój był tylko cieniem Baedekera. Dowiedziawszy się jednak, że zamierzałem zwiedzić także Bibljotekę Narodową z jej interesującemi inkunabułami, rękopisami i autografami, ożywił się nagle i uśmiechnął tajemniczo.

— I ja złożyłem tam niedawno ciekawy dokument — rzekł z dumą.

Nastawiłem uszu.

— Tak, tak... — mówił dalej. — Nie wiem wprawdzie, czy ma on jakąś szczególną wartość, ale, o ile sobie przypominam, sener Alvarez, który dziękował mi za niego w imieniu dyrektora Bibljoteki wspominał, że pochodzi on podobno z czasów Filipa II.

— W jaki sposób dostał się w pańskie ręce? — zapytałem. zaciekawiony.

Spojrzał na mnie z wyrazem zadowolenia, jak handlarz który wie, że towar jego zyskał uznanie kupującego.

— To przypadek... tylko przypadek — rzekł. Zapewne słyszał pan, że hotel mój mieści się w części dawnego klasztoru Dominikanów. Budynek to stary, który przechodził różne koleje. Kupiłem go przed laty i odnowiłem, nie szczędząc pieniędzy. Ale niewiele dało się zmienić. W ubiegłym roku dokonałem znowu pewnych przeróbek. Kilka ścian wewnętrznych kazałem zburzyć, poszerzyłem odpowiednio szereg korytarzy i przez wstawienie kilku ścianek zyskałem na parterze dwa pokoje. Pokój pański jest jednym z nich. Powstał on przez skrócenie sieni i włączenie niszy, która stanowiła jej zakończenie. Zapewne zauważył pan różnicę w grubości murów zamykających Nr. 5. Jedna ściana jest zupełnie nowa. I właśnie w ciągu przebudowywania korytarza....

Przerwał na chwilę i odetchnął głęboko.

— Znaleziono owe papiery? — rzekłem.

— Tak jest — potwierdził. — Zmieniając stare cegły w niszy ściennej dawnego korytarza natrafiono na żelazną szkatułkę. Niestety! — dodał ze szczerym smutkiem. — Nie było w niej wartościowego...

— Jakto? Pusta szkatułka? — zapytałem zainteresowany.

— Niezupełnie — pospieszył z odpowiedzią — w szkatułce, która była zamknięta, znajdował się stary różaniec, żelazny krzyż i złożony we dwoje pożółkły papier.

— A ten papier?

— Nic szczególnego — rzekł. — O ile mi wiadomo, był to list, czy też modlitwa jakiegoś zakonnika. Pan rozumie... Ja po łacinie nie mówię. Szkatułkę oddałem do muzeum, dokument również. Kiedy przed kilku miesiącami widziałem się z senor Alvarezem, mówił mi, że dokument nie ma żadnego znaczenia. Przysłał mi nawet jego kopję... Mam ją w domu. Nic szczególnego, nic szczególnego.... — i westchnął znowu.

Ale nie dałem odprawić się z kwitkiem. Myśl, że w pokoju, który zajmuję, dokonano jakiegoś interesującego odkrycia, była dla mnie podnietą i zachętą do dalszych pytań.

— Pan ma w domu kopję dokumentu? Czy mógłbym ją zobaczyć? Interesują mnie zawsze stare szpargały — rzekłem.

Nie opierał się.

— Z największą chęcią. Proszę przyjść do mnie wieczorem około 8-mej na Callje de Buenavista 7.

Pożegnaliśmy się, ja zadowolony, że przecież znalazłem coś ciekawego w Madrycie, on trochę zdziwiony mojemi romantycznemi skłonnościami.

Jest już siódma. Wróciłem niedawno z parku i z przechadzki po mieście. Dziwna rzecz, niepokój, jakiego doznaję od rana, zdaje się potęgować... Już dawno nie czułem się tak źle Gdyby nie czekająca mnie wizyta, spakowałbym nawet dziś swoje walizki. Na Callje Buenavista niedaleko. Pójdę wolnym krokiem.

21-go, godz. 7.

Spędziłem noc bezsenną. Zaszedł w życiu mojem fakt, który zbudził szeregi wspomnień, wspomnień, będących dziś męczarnią. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego to wszystko, co mi w tej chwili wydaje się przestępstwem, co mnie przyprawia o wstręt... drzemało jeszcze wczoraj w głębi mej duszy. Jestem zbrodniarzem. Czyż zasługuję na inne miano? Powtarzam to sobie od szeregu godzin, od chwili, kiedy spotkałem ją tam, na ulicy...

Dokończenie w następnym numerze.



Niewiadomo, co zaszło między przyjaciółmi...

„AS“ ciężkiej atletyki Władysław Zbyszko Cyganiewicz — mówi:

Najdramatyczniejszy moment w mem życiu.

— Było ich kilka.

Zadałem mianowicie znakomitemu zapaśnikowi polskiemu Władysławowi Cyganiewiczowi, zwanemu Zbyszkiem II. pytanie:

— Jaki był najtragiczniejszy moment w pańskiem życiu?

Rozmówca mój chwilę się namyśla, a potem zaczyna opowiadać:

— U samego początku mojej karjery, przeszedłem moment, który bez przesady można nazwać tragicznym. Mianowicie z końcem roku 1913 i początkiem 1914 wraz z bratem Stanisławem brałem udział w wielkich zapasach w Paryżu. Najsławniejsi ciężkoatleci ówczesnej doby brali w nich udział, a bezsprzecznie najgroźniejszym z nich był Rogers, znany w całym świecie sportowym, przechodzący od zwycięstwa do zwycięstwa.

Następuje parę bardzo wymownych gestów.

— Ten Rogers to był chłop, jak dąb. Ważył 300 funtów amerykańskich i miał potworną siłę. Wyglądałem przy nim jak kurczę — przecież byłem młodziutkim chłopaczkiem i dopiero rozpoczynałem swoją karjerę. Był to najgroźniejszy przeciwnik, z jakim przyszło mi walczyć pod sam koniec zawodów. Przyjaźniliśmy się jednak. Nasza matka mieszkała wówczas w Paryżu i bardzo często przychodził do nas „na kawę“. Pewnego razu w gimnazjum...

Moje zdumienie było prawdopodobnie dość widoczne, bo natychmiast nastąpiło objaśnienie:

— W naszej gwarze „gimnazjum“ oznacza szkołę zapaśniczą, w której odbywamy treningi. Otóż pewnego razu Rogers zwrócił się do mnie: „Słuchaj mały, powiedz mi, jak zaczniesz walczyć i jak ja cię mam trzymać. Jakich chwytów mam użyć, żeby ci nie zrobić krzywdy.“

Widzę, że wspomnienie to podnieca mojego rozmówcę.

— Odpowiedziałem: „chcę walczyć z tobą, jak ze wszystkimi innymi“. Wówczas zapytał ironicznie:

„I może chcesz zwyciężyć“?

„Oczywiście chcę i wszelkiemi siłami będę do tego dążył.“

— Wieść o tem rozesła się dość szybko, wzbudzając powątpiewanie, a nawet wesołość. Z poważną przemową zwrócił się do mnie brat Stanisław, a zakończył ją w ten sposób: „Ja ci na drodze nie będę stawał, ale bądź ostrożny“.

Cyganiewicz opowiada, jak zaczął się mecz. Z całą plastyką słowa podkreślając je gestami, opisuje, w jakich warunkach odbyła się ta walka.

— W olbrzymiej sali nie było ani jednego miejsca. Za bilet płacono po 300 franków. Na widowni było kilka tysięcy ludzi. I wobec tych tysięcy stanąłem naprzeciw amerykańskiego olbrzyma Rogersa. Zaczęła się walka w systemie „catch as catch can“. Rogers miał nademną przewagę. Nie dawałem się jednak, aż wreszcie wykorzystawszy odpowiednią chwilę, uderzyłem. Zachwiał się i upadł, a publiczność podniosła krzyk.



Władysław Zbyszko Cyganiewicz, szampion świata w zapaśnictwie.

Potem nastąpiła pauza, a w czasie jej brat mój Stanisław zwrócił mi uwagę, iż muszę być ostrożnym, ponieważ arbiter walki jest wyraźnie po stronie Rogersa. Wiedziałem co to znaczy, wiedziałem, że każde moje uderzenie może spowodować moją dyskwalifikację. Wtedy pierwszy raz, a potem kilka razy w życiu spotkałem się ze stronniczymi arbitrami i oto po pauzie Rogers zjawił się przedemną. Zaczął obrzucać mnie ciosami. Ja stosowałem tylko walkę obronną, ale patrząc w oczy Rogersa widziałem, że jest wprost nieprzytomny z wściekłości. Rozbił mi ucho, rozbił nos i uderzył silnie w czoło. Byłem zalany krwią, a nie mogłem uderzać, ponieważ na każdy mój ruch czyhał arbiter. A jednak w pewnym momencie Rogers odsłonił się dobrze. Uderzyłem go w szczękę i wybiłem ją. Zwycięstwo zostało przyznane mnie. Brat mój Stanisław — oczywiście zrezygnował z walki ze mną, a temsamem zyskałem pierwszy raz tytuł szampiona szampionów.

— Rogers — niech pan pamięta o tem, że był przecież moim przyjacielem — odszedł. Już nigdy nie pokazał się na ringu, mimo, iż wielokrotnie miał niezwykle nęcące propozycje.

— Moment, kiedy tam stałem przed tym olbrzymem amerykańskim, kiedy Rogers masakrował mi twarz, a w duszy mej poczęło kiełkować zwątpienie, czy potrafię zwyciężyć — moment ten był najtragiczniejszym w całem mojem życiu.

Krak.



Scena z filmu Paramounta „Upton Manchattan“ — z Zbyszkiem Cyganiewiczem walczącym na ringu.

KRÓLOWA SPINETU



Wanda Landowska, która ożywiła staroświecki spinet, czyniąc z niego zrozumiały dla współczesnych ludzi instrument muzyczny. *Fot. Lipnitzki — Paryż.*

Wyraz „spinet" łączy się niemal zawsze z nazwiskiem Wandy Landowskiej. Lecz rzadko tylko gości ona w kraju. Trzeba ją odwiedzić jednak w jej siedzibie, w Saint-Leu-la-Forêt, pół godziny na północ od Paryża, aby zdać sobie sprawę z wszechświatowej sławy artystki.

Tu wielka artystka mieszka i przyjmuje, tu udziela lekcyj elicie artystów, zjeżdżających zarówno z Francji, jak i z Hiszpanji, Belgji, Szwajcarji, Holandji, Ameryki, Niemiec, Anglji... Tu też koncertuje i wypoczywa między jednem tournée a drugiem.

Parę razy do roku Landowska występuje w Paryżu. Wtedy zapełniają się największe sale stolicy Francji, a koncertowe sale Opery, Pleyel i inne pamiętają dobrze występy naszej wielkiej rodaczki. Lecz, jeśli mam powiedzieć prawdę, muzyka jej najbardziej przemawia do mnie w Saint-Leu, gdzie Landowska wybudowała w swym parku pawilon z salą koncertową według własnych planów, obejmującą zaledwie 250 miejsc.

Jest to prawdziwa świątynia muzyki dawnej, ożywionej przez nią, kapłankę tej muzyki. Landowska dowiodła, jak bardzo „muzyka dawna" jest nowoczesna, jak bardzo odpowiada ona naszemu usposobieniu dzisiejszemu. Muzyka ta była całkowicie doniedawna zaniedbana, nie odpowiadała więc poprzedniemu pokoleniu. Nasza mistrzyni spinetu z niezwykłą energją, inteligencją, zapałem, miłością i żywotnością oddała się muzyce. Czyniła i czyni wciąż poszukiwania wśród starych nut i wciąż publikuje czy też grywa jakiś „nowy" utwór, wydobyty przez nią z zapomnienia, uporządkowany, ożywiony. Czyni to jakby dla własnej przyjemności.

— Utwór ten znalazłam przypadkowo u antykwarjusza w Hadze, w czasie mego ostatniego tam koncertu — mówiła o jednym z nich.

Zebrani umieją ocenić uwagi i objaśnienia grającej. Sala jest zawsze zapełniona, a miejsca zamawiane są telefonicznie na kilka tygodni naprzód. Atmosfera panuje tu zupełnie wyjątkowa. Nikt nie czuje się „na koncercie", lecz w jakimś zaczarowanym świecie tonów.

Koncerty w Saint-Leu odbywają się co niedzielę w maju, czerwcu i lipcu. Potem następują lekcje publiczne, również w niedziele popołudniu. Okna otwarte, monumentalne drzwi, wiodące do parku — również... Opóźnieni zapełniają ławki i fotele ustawione wśród zieleni. Trele spinetu mieszają się ze świergotem ptaków, zapachem kwiatów i przyjemnem ciepłem cienia. Wanda Landowska gra... Bach, Mozart, Haendel, Haydn, Scarlatti, Rameau i inni ustępują tu sobie wzajemnie miejsca. Gra, rzucając niekiedy kilka słów komentarza. Komentarze te są obszerniejsze w czasie lekcyj publicznych.

Lekcje zapełniają część życia Wandy Landowskiej i chyba całą jej duszę. Oddaje ją uczniom, pragnie, by kontynuowali jej dzieło. Stworzyła jednolity styl muzyki dawnej, „styl Saint-Leu". Nie kształci ona jednak wirtuozów i nie to jest jej celem. Pragnie przedewszystkiem pogłębić dusze amatorów i — wirtuozów, zbliżyć ich do muzyki „dawnej", tak specjalnej, umożliwić im odnalezienie jej świeżości, uczucia, spokoju, majestatu (często dotąd zbyt podkreślanego). I dlatego Landowska zwraca się przedewszystkiem do młodych.

— Nie obawiajcie się powagi ojca Bacha i jego ciężkiej peruki! Zgrupujmy się wokół niego. Odczujecie miłość, wspaniałą dobroć, spokój, wypływające z każdej frazy.

I dlatego lekcje publiczne w Saint-Leu posiadają specjalny charakter. Wirtuozka-animatorka usuwa się niemal na drugi plan. Nie przygniata uczniów swą potęgą, lecz ułatwia im odkrycie ich własnej indywidualności na drodze muzyki, którą przestawano rozumieć.

Koncert dobiega końca. Część zebranych skupia się jeszcze wokół cennych instrumentów, zapełniających salę, a zebranych stopniowo przez Landowską. Jest tu nawet pianino Chopina z Majorki...

Niektórzy z gości przechadzają się po parku, rozmawiają grupkami, gdyż znają się tu niemal wszyscy, choć spotyka się wciąż nowe twarze.

Niekiedy, w chwili wolnej od pracy, pani domu podejmuje zaproszonych gości podwieczorkiem. Wtedy mają oni możność przestąpić próg jej siedziby, gdzie stają oczarowani smakiem całości, siłą kontrastów, mnogością pamiątek. Landowska jest mistrzynią nastrojów, które tworzy zarówno dla siebie, jak i dla innych. Światła, szaty, fotele, wszystko staje się inteligentnem, wibrującem narzędziem w jej ręku. Czerwone róże w kryształowym wazoniku obok lichtarza antycznego z czarną świecą — oto drobny szczegół. Wszystko tu jest przemyślane, przeczute. Zauważyłem przy tem, że gospodyni stara się zachować polski charakter domu. Odczuwają to też obcy przybysze. — A pamiątki? Przywożone i przesyłane ze świata całego jako dowody hołdu. Książki, nuty, porcelana (ba! cała serja ozdobnych talerzy z rysunkami wypalanemi, a odnoszącemi się do epopei wielkiej Wandy!...), karykatury przeróżne...

A gdy stanąłem wreszcie przed panią tych pamiątek, nie dziwiłem się już jej tak wielkiej młodości i radości i energji, mimo męczącego życia artystki i dziennikarki, badaczki instrumentów muzycznych... Landowska zachowuje pogodę umysłu, świeżość, energję. Lecz ktoby zliczył jej różnorodne zajęcia!

Z St. Leu odjeżdża się w pełni wrażeń, refleksyj i zadowolenia.

Zygmunt Frenkiel (Paryż.)

SPOJRZENIE Z „BOCIANIEGO GNIAZDA"..
Jacht „Britannia" wyrusza na jesienny rejs. →



Vive le Roi

Rozmowa z mym przyjacielem kręciła się koło zagadnień ustrojowych.

— Tak, z monarchjami jest źle. Jak tak dalej pójdzie, to będzie wkrótce tylko 9 królów — rzekł z namaszczeniem.

— Dlaczego właśnie 9-ciu? — zapytałem.

— No tak — odparł mój przyjaciel, uśmiechając się. — Czterech w kartach, dwóch w szachach i trzech po Nowym Roku!

Odnosiłem się z dużą rezerwą do tych prognostyków i okazuje się, że miałem rację. Grecja zdecydowanie oświadczyła się za monarchją, w Hiszpanji w ostatnich czasach wpływy monarchistyczne i prawicowe znacznie wzrosły, Austrja, jakkolwiek jeszcze nieśmiało ale zdecydowanie przygotowuje się do przyjęcia Ottona, o ile oczywiście do tego czasu nie będzie musiała przyjąć Hitlera.

Jak na wszystko na świecie, tak i na ustroje państwowe przychodzą dobre i złe konjunktury. Na podstawie pewnych warunków faktycznych wyrabia się taka lub inna mentalność i psychologja, ułatwiająca dojrzewanie tego lub innego ustroju. Najmniej popularną była monarchja przed samą wojną światową i bezpośrednio po niej. Przed wojną — dlatego, że parlamentaryzm święcił jeszcze triumfy gadulstwa i hodował pod szkłem oranżerji politycznej fikcję udziału w rządach wszystkich obywateli, — po wojnie zaś państwa, które przegrały wojnę, przypisywały klęskę swoim dynastjom.

Od tego czasu dużo się zmieniło. Chaos powojenny wymagał silnej ręki i centralizacji. Automatycznie nieomal wyłonili się dyktatorzy, których jednak słabą stroną jest to,



Ks. Ludwik Napoleon Bonaparte, 21-letni pretendent do tronu francuskiego.



Dziedzic tronu hiszpańskiego infant Don Juan de Bourbon zaślubił ostatnio w Rzymie swoją kuzynkę ks. Marję de las Mercedes de Bourbon-Orléans.

że są śmiertelni, jak wszyscy inni ludzie i cały ciężar rządów na ich jedynie barkach spoczywa. Nieraz jednak dyktatura była tylko przejściową bronią w ręku monarchji, jak to widzieliśmy w Hiszpanji, w Jugosławji, w Bułgarji i t. d.

Zróbmyż pobieżny bilans tych wszystkich kandydatów, czekających w obecnej chwili na tron, wpierw jednak musimy ustalić ideę dzisiejszych dążeń monarchistycznych.

Ustrój monarchiczny opiera się, siłą rzeczy, na legitymiźmie, t. j. ściśle prawnemi i historycznemi przesłankami, umotywowanym porządku dziedziczenia korony. Gdy po abdykacji króla Karola X w roku 1830, naród francuski pod przewodnictwem bojownika za wolność Ameryki gen. Lafayette, ofiarował koronę księciu Orleańskiemu Ludwikowi Filipowi, pochodzącemu z młodszej linji Kapetyngów, większość poddanych J. K. M. długo jeszcze uważała to za pogwałcenie odwiecznych praw monarchji francuskiej, lecz liczyła się z warunkami faktycznemi. Podobnie jest i dzisiaj. Najzagorzalsi nawet monarchiści skłonni są wyrzec się prawowitego monarchy na korzyść innego, bardziej odpowiadającego w danej chwili. Nawet monarchiści greccy obok kandydatury legitymistycznej b. króla Jerzego II, biorą pod uwagę jego stryja księcia Mikołaja, bo spodziewają się w ten sposób uzyskać poparcie Anglji, zainteresowanej Grecją przez małżeństwo księżniczki Maryny, córki ks. Mikołaja z księciem Kentu. Podobne stosunki panowały do niedawna na Węgrzech, gdzie naród, usposobiony wybitnie monarchistycznie, poza arcyksięciem Ottonem, stawiał również kandydaturę popularnego arcyksięcia Józefa, co więcej, niektórych obcych książąt, a nawet kandydatów krajowych. Nie można się zresztą dziwić temu, gdyż kraj ten posiada dużą tradycję elekcyjności monarchów.

Gdy w roku 1931 król Alfons XIII opuszczał Madryt, rzekł do swego otoczenia: „Trabajar, trabajar, e no enchicanarse!" — pracować, pracować i nie dać się zbić z tropu. Nie mówił tego na wiatr, gdyż znał Hiszpanów i wiedział, że bez ram tradycyjnej monarchji, trudno będzie temu narodowi ustalić ład i porządek. Propaganda monarchji w Hiszpanji komplikuje jednak niezdolność synów królewskich do objęcia ewentualnego następstwa tronu z powodu dziedzicznych ułomności, to też król wkońcu ogłosił swego trzeciego syna Infanta don Juana dziedzicem korony, na jego rzecz abdykując. Wielki majątek ekskróla, kompletny chaos, który nastąpił po upadku monarchji, a w końcu niebezpieczeństwo komunizmu są bardzo poważnemi atutami w ręku monarchistów. Przecież i podczas rządów królowej Izabelli II doszło do rewolucji i ogłoszenia na krótko republiki, która wnet upadła. Inaczej przedstawia się sprawa w Portugalji, do której tronu, po śmierci ostatniego z panującej linji Braganzów - Sasko - Koburskich, króla Manoela II, niema bliskiego pretendenta. Jakkolwiek również i Portugalja posiada silną partję monarchistyczną, to jednak szanse przewrotu, mimo powtarza-



Król grecki Jerzy II, który ostatnio został powołany spowrotem na tron, jest potomkiem duńskiej dynastji holsztyńskiej.



Arcyks. Otton, kandydat do tronu węgierskiego i austrjackiego w stroju węgierskim.

jących się raz po raz manifestacyj monarchistycznych, są dosyć nikłe, gdyż obecny prezydent i zarazem dyktator gen. Carmona, zdołał zaprowadzić ład i porządek, a przedewszystkiem podnieść kraj ekonomicznie.

Zupełnie specjalna i bardzo trudna do określenia sytuacja wyrobiła się w Rzeszy niemieckiej, która do roku 1918 rozpadała się na 4-ry królestwa, sześć wielkich księstw, dziewięć księstw, nad któremi panowały ściśle z danymi krajami związane historją dynastje Hohenzollernów, Wettinów, Würtembergów, Zähringenów, Reussów, Schwarzburgów itd. Rok 1918, będący rokiem klęski dla armji niemieckiej, przyniósł ze sobą upadek wszystkich tych tronów. Jedynie trzy dynastje wchodziły następnie w grę w kombinacjach politycznych niemieckich monarchistów: Hohenzollernowie, Wittelsbachowie i dom saski. Katoliccy monarchiści chcąc osłabić wpływ protestanckich Prus w Rzeszy planowali nawet połączenie Bawarji z Austrją pod panowaniem księcia Rupprechta bawarskiego, syna ostatniego króla Ludwika III-go. Co do ewentualnej restytucji Hohenzollernów Niemcom-monarchistom tak rozmiłowanym w paradach, wszedł... w paradę hitleryzm, który z początku ujawniał pewne sympatje monarchistyczne, ostatecznie jednak się od nich odżegnał. Dawni dynastowie niemieccy zamieszkują po większej części swoje zamki w krajach, nad któremi dawniej panowali, gdyż zachowali oni większość swych majątków. Ks. Rupprecht zamieszkuje w zamku Hohenburg lub Berchtesgaden, synowie zmarłego króla saskiego w zamku Moritzburg lub Sybillenort, obecny kandydat do korony würtemberskiej, ks. Albrecht w zamku Althausen w Szwabji, a inni mniejsi dynaści również w swych wiejskich rezydencjach.

Wśród niemieckich książąt znajduje się jeden nadwyraz oryginalny pretendent, o którym ogół mało albo zgoła nic nie wie. Jest nim Fryderyk Karol landgrabia heski, który obecnie jest reprezentantem linji Hessen-Cassel, panującej do 1866 r., a dnia 9 października 1918 został wybrany większością 20 głosów parlamentu finlandzkiego królem Finlandji. Po 4 miesiącach swoich rządów musiał wobec ostatecznego załamania się frontu niemieckiego powrócić do ojczyzny, mimo poparcia swego szwagra Wilhelma II.

Jakkolwiek Francja od roku 1870 jest republiką i zewnętrznie swojem nieraz trochę reklamiarskiem wysuwaniem trójlistnej koniczyny ustrojowej streszczającej się w słowach „Egalité, Franternité, Liberté", budzi wrażenie „typowej" republiki, to jednak w ostatnich czasach budzą się co do obecnego ustroju państwowego, a w szczególności instytucji „przerośniętego" parlamentaryzmu duże zastrzeżenia. Najlepszym tego dowodem jest zyskujący na popularności „Krzyż Ognisty", liczne krytyki prasy wobec parlamentu i ogólne niezadowolenie. A zresztą warto przypomnieć, że ustrój republikański przeszedł w Zgromadzeniu Narodowem po klęsce II-go cesarstwa na polach walk z Niemcami jednym jedynie głosem, należącym w dodatku do znanego arystokraty — księcia Audifferet-Pasquier. Nie znaczy to, aby Francja była w przededniu ogłoszenia monarchji, ale okoliczności te dodają otuchy francuskim monarchistom, którzy i tu dzielą się na dwie grupy: legitymistów i bonapartystów. Ze strony legitymistów kandydatem do tronu jest książę Jan de Guise, zwany przez nich Janem IV, syn ks. Roberta, wnuk ks. Ferdynanda, ks. orleańskiego, a prawnuk króla Ludwika Filipa, zdetronizowanego 1848. Ks. Jan de Guise, ożeniony jest z ks. Izabellą francuską, a jego syn Henryk nosi tytuł hr. Paryża. Lecz i w obozie legitymistów istnieją dwa odłamy, które opierając się na pewnych finezjach prawniczych i zwyczajowych monarchji francuskiej mają odmienne poglądy na prawa do tronu członków domu francuskiego. Jedni — legitymiści właściwi, twierdzą, że jedynie potomkowie Filipa V, króla hiszpańskiego a wnuka Ludwika XIV, mają prawa do tronu francuskiego, a kandydatem ich był ks. Sykstus Bourbon-Parma, brat cesarzowej Zyty, orleaniści natomiast upatrują w osobie wspomnianego ks. de Guise, dziedzica korony. Rodzina jego po wygaśnięciu potomków króla Karola X oddziedziczyła w r. 1883 godność szefa królewskiego domu francuskiego. Ogólnie jednak poglądy orleanistów cieszą się większym kredytem opinji, jak „czystych" legitymistów. Obok zwolenników dawnego domu królewskiego istnieje, jak wspomnieliśmy, nieliczny odłam bonapartystów, którzy chcieliby na tronie widzieć ks. Napoleona Ludwika, 21-letniego młodziana, o pięknym profilu, który ostatnio pierwszy raz wypowiedział się wobec prasy francuskiej o swych poglądach na kwestje polityczne i dynastyczne. Ks. Ludwik-Napoleon jest synem ks. Wiktora i ks. Klementyny belgijskiej, córki króla Leopolda II, wnukiem zaś ks. Napoleona i ks. włoskiej Klotyldy, a prawnukiem króla westfalskiego, Hieronima, brata cesarza Napoleona I. Z powodu swych bliskich stosunków z dworem belgijskim przemieszkuje w Brukseli w swym pałacu na avenue Louise, podobnie jak zresztą i jego przeciwnik ks. Jan de Guise, który też zajmuje w Belgji zamek Anjou.

Wśród mniej lub więcej problematycznych pretendentów do tronu nie można zapomnieć o hr. d'Eu z domu Bourbonów, pretendencie do korony brazylijskiej. Przed rokiem pewną sensację wzbudziły dosyć fantastyczne pretensje Emanuela ks. Lascarisa, zamieszkałego w Saragossie w Hiszpanji, a wywodzącego się z dawnych cesarzy bizantyńskich i chcącego być królem greckim.

Zagadnienie restytucji monarchji w Austrji zaczyna się ostatnio komplikować spowodu osłabienia Włoch wojną afrykańską, jak również dla ataków „anschlussowych" Rzeszy. — Jeżeli chodzi o psychologję akcji monarchistycznej w różnych krajach i mentalności samych pretendentów, to postać i życie arcyksięcia Ottona jest dla nich nadwyraz charakterystyczna.. Wszystko czem jest lub czem będzie zawdzięcza staraniom swej matki, cesarzowej Zyty, podobnie jak i Alfons XIII królowej Marji Krystynie, jej wysiłkom bohaterskim zawdzięczał, że uratowała dla tego „el rey nino" tron hiszpański po śmierci jego ojca.

Wogóle znajdziemy bardzo często w domach panujących ten „kompleks matki", a wpływ matek na swych synów przeważnie był znacznie wybitniejszym jak ojców. Przecież również i Ferdynand bułgarski zawdzięczał w wielkiej mierze swoje królestwo staraniom matki swej, Klementyny ks. Orleańskiej. Jest to zresztą rzeczą o tyle zrozumiałą, że bardzo często w życiu kobiet, postawionych przez los i kombinacje dynastyczne na wyżynach, jedyną pociechą staje się ich syn, a jego przyszłe losy jedynem ich zainteresowaniem. Od niego przecież matka spodziewać się może miłości i przywiązania, których zazwyczaj nie znajduje ani u męża, ani dalszej rodziny. Tak więc wiele nitek skomplikowanej politycznej tkaniny uprzędzone zostały drobnemi rękami kobiet.

Jan Maleszewski.

Na prawo: Poważne szanse wstąpienia na tron grecki ma również ks. Mikołaj, ojciec ks. Maryny, żony ks. Kentu.





Poniżej: B. król hiszpański Alfons XIII w uroczystym stroju rycerskiego zakonu Calatravy.

Człowiek, który stworzył REWJĘ



Na lewo: Florence Ziegfield, twórca nowoczesnej rewji.



Każda z tych pięknych dziewcząt marzy o wielkiej karjerze filmowej, tymczasem jednak tańczy na deskach „Ziegfield Folies".





Powyżej: „W garderobie przed lustrem". Rys. J. M. Brzeskiego.
Po prawej: Zdolny reżyser music-halla dobiera w ten sposób dziewczęta do swego zespołu, aby każda posiadała o ile możności odrębny typ, a wszystkie razem tworzyły całą gamę piękna kobiecego.

Wiadomo powszechnie, że zwykły robotnik kolejowy może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, i że mały mechanik stał się największym fabrykantem samochodów w świecie.

Mimo to trudno uwierzyć, że człowiek, który w całym świecie uchodzi za wyrocznię w dziedzinie gwiazd kabaretowych, był kiedyś cowbojem!

Florence Ziegfield, twórca największego amerykańskiego zespołu tancerek, mistrz reżyserji rewjowej, doskonały muzyk, nieomylny sędzia we wszystkich sprawach, związanych z królestwem Terpsychory, świadomy mentor tysiąca girls, które produkują się pod jego firmą, był przed dwudziestu laty pastuchem krów na farmie w Wyoming.

Lata przeżyte w prerji, uczyniły zeń mistrzowskiego jeźdźca, namiętnego myśliwego i nieomylnego strzelca. Prócz tego wyrobiły w nim jeszcze jedną pasję: uwielbienie fizycznego piękna.

Raz do roku ucieka Ziegfield od światła kinkietów do swej farmy w Kanadzie, gdzie odnajduje swą młodość. W ten sposób udaje mu się utrzymać fizyczne zdrowie, konieczne przy wyczerpującej pracy, jaką sam sobie obrał. Florence Ziegfield twierdzi zresztą, że człowiek, który nie jest fizycznie zdrów, nie ma poco żyć... Kiedy na początku każdego nowego sezonu zbiera młode adeptki Terspychory, które pod jego kierunkiem rozpoczynają żmudną pracę, wygłasza do nich przemowę — mniej więcej następującą:

„Wszystkie macie piękne twarze i niemniej piękne ciała, wiecie o tem równie dobrze, jak i ja. Wyobraźcie sobie, że ktoś wam podarował wspaniały wóz marki Rolls-Royce. Jeśli będziecie się z nim odpowiednio obchodzć i nie dopuścicie do jego nadużycia, wóz ten będzie wam służył przez całe życie. Naturalnie, nie pozwolicie, żeby ktoś zdrapywał lakier z waszej wspaniałej limuzyny. Tych samych zasad trzymajcie się przy pielęgnowaniu waszych ciał. Jest to dar Boga nierównie cenniejszy, niż najwspanialsza limuzyna. Nadużycie alkoholu, niedostatek snu, nieodpowiednie odżywianie, wszystko to rujnująco wpływa na wasze zdrowie i urodę. Traktujcie wasze ciała tak, jakbyście traktowały kosztowny podarek — powiadam wam to raz jeszcze. Zdrowie to pierwszy i najbardziej nieodzowny warunek waszej późniejszej karjery. Pomogą wam w staraniach moi lekarze i instruktorzy sportowi".

Zgodnie z temi poglądami, uważa Ziegfield taniec nietylko za rytmiczną harmonję ruchów, lecz za najżywotniejszy wyraz fizycznego zdrowia. Ziegfield stworzył typ tańczącej i śpiewającej girlsy, który w ciągu ostatniego dziesiątka lat spopularyzował się nietylko w Ameryce, ale i w Europie.

Przed kilku laty wielkie wrażenie wywołał artykuł Ziegfielda, zapowiadający zmierzch chłopięcych kształtów.

„Kobiety o szczupłych, chłopięcych figurach nie można uważać za prawdziwie piękne, są one bowiem sztucznym produktem głodowej niemal djety, specjalnych medykamentów oraz przetrenowania sportowego. Prawdziwa piękność posiada cechy naturalności" — twierdził Ziegfield.

W rewji Ziegfielda występuje sześćset tancerek. Prócz tego większość gwiazd Hollywoodu rozpoczęła karjerę w jego teatrze. Człowiek ten posiada nieomylne oko i stalową energję. Świadczy o tem najlepiej fakt, że na początku bieżącego sezonu zbadał osobiście około dziesięć tysięcy kandydatek, które przybyły ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych. Tylko siedemdziesiąt z nich zostało przyjętych.

„A kiedy zdarza mi się, że mam szczęście — pisze w swych wspomnieniach król rewji — i uda mi się wykryć jakąś autentyczną „star", wówczas mogę być pewien, że zjawi się jakiś reżyser filmowy i zaproponuje jej bajońskie honorarjum. Cóż mi pozostaje wówczas? Albo zapłacę jej tyleż, albo też będę musiał z niej zrezygnować. W Hollywood i na wszystkich scenach świata znaleźć można setki tancerek, które u mnie rozpoczęły karjerę, a potem dały się skusić ponętniejszym pod względem finansowym propozycjom. Niewdzięczna to praca — wychowywać tancerki...".

Pierwsze swoje „Follies" stworzył Ziegfield w roku 1913. W 13 lat później wybudował wspaniały gmach teatralny na Broadwayu. Jak widać, zawód jego, choć niewdzięczny, jest jednak bardzo dochodowy...

Ostatnio, jak słychać, nastąpiło pogodzenie Ziegfielda z przemysłem filmowym. W Hollywood realizuje się wielki, kolorowy film rewjowy, który, jak sama nazwa — „Wielki Ziegfield" — wskazuje, stanowić będzie hymn pochwalny na cześć twórcy nowoczesnej rewji.

Jerzy B.





Od prawej: Oto dwa nadwyraz oryginalne, ale również śmiałe „stroje" uroczej Azalji Cecil, występującej w rewji „Footlight Parade".

ZAHYPNOTYZOWANE WAHADŁO



Z napiętą uwagą uczony śledzi zapomocą teleskopu przejście gwiazdy polarnej.

Zmarły niedawno kapitan korwety dr. Karol S. opisuje ciekawe autentyczne zdarzenie, którego widownią było obserwatorjum astronomiczne w Poli jeszcze przed wojną światową. O zdarzeniu tem nigdzie dotychczas nie pisano. Zachęcony niezwykle ciekawem przeżyciem przyjaciela ze służby wojennej na morzu, postanowiłem niedawno powtórzyć eksperyment.

Widownią doświadczenia będzie tym razem wiedeńska „Urania". Do eksperymentu odniósł się niezwykle życzliwie kierownik obserwatorjum dr. Schembor. Zanim otrzymamy bliższe szczegóły w sprawie eksperymentu wiedeńskiej „Uranji" posłuchajmy, co się stało przed wojną w Poli.

Jest godzina wpół do trzeciej rano. Od godziny ósmej, a więc od sześciu i pół godzin dyrektor obserwatorjum wraz z dwoma swymi asystentami obserwował przy pomocy precyzyjnego instrumentu moment przejścia gwiazd przez południk w tak zwanym pokoju południkowym.

Głęboka cisza i ciemność panowały we wszystkich korytarzach i salach gmachu. Także w pokoju obserwacyjnym było wszystko przyciemnione z wyjątkiem małych lampek, oświetlających mikroskopy, przy pomocy których odczytuje się deklinację, oraz małej lampki oświecającej tarcze wahadła sekundowego.

Mimo tak skąpego oświetlenia obserwator, siedzący przy lunecie w środku sali, był oddzielony od źródeł światła ścianą.

Podwójna skrzynia szklana osłaniała świętość obserwatorjum, a mianowicie wahadło, tłumiąc niemal zupełnie jego tykot. Ażeby jednak obserwator siedzący mógł słyszeć kroki idącego czasu, umieszczono na zewnątrz zegara elektryczny młoteczek wybijający sekundy.

Młotek wybijał stale i nieznużenie sekundy, a obserwator liczył.

Asystenci S. i N. byli znużeni. Krążąc w filcowem obuwiu po sali odczytywali instrumenty, czekali i tylko czasem wymieniali szeptem ze sobą uwagi.

Teraz w tej właśnie chwili wspaniale i poważnie, niezwykle wolno przesuwa się przez krzyż lunety gwiazda polarna.

Asystenci mają dwadzieścia minut czasu. Mimo, iż o tem nie mówili myśli ich poszły w jednym kierunku: — gdyby już był koniec wszystkiemu...

Stali, milcząc przed zegarem i patrzyli na miarowe skoki wskazówki sekundowej.

— Pamiętasz co mówił W., oddając nam służbę? — odezwał się szeptem S.

— O, tak — odpowiedział, uśmiechając się M. Jeżeli kiedyś będziecie znużeni tak, że już się wam nie zechce pracować, to dam wam środek doskonały na to, ażeby zakończyć obserwację. Zahypnotyzujcie wahadło i nakażcie mu siłą swej woli ażeby stanęło.

— A możebyśmy spróbowali tego środka...

— Doskonale!

— A więc zaczynamy!

Obaj skupili wzrok na tarczy sekundowej, śledząc ruchy wskazówki. Z oczu obu asystentów płynął silny nakaz. Mimo to jednak sekundnik poruszał się dalej. Po każdym skoku odpoczywał przez moment, a potem przesuwał wskazówkę do najbliższej kreski.

Tak trwało blisko trzy minuty.

Nagle stało się coś, co obu asystentów wprawiło w niebywałe zdumienie. Wskazówka stanęła na liczbie 14. Zatrzymała się przez chwilę, gotując się do najbliższego skoku. Nie udał się. Nie doszła do liczby 15. Poczęła drgać i wahać się. Wreszcie uspokoiła się i nie poruszyła więcej.

Obaj asystenci popatrzyli na siebie bez słowa. Byli zupełnie spokojni i opanowani. Nie mogli jednak powiedzieć żadnego słowa.

Czas płynął bezgłośnie.

— Co się tam stało? Hip nie wybija sekund — odezwał się głos dyrektora siedzącego przy lunecie.

(Hip, to nazwa elektrycznego sekundowego młotka, pochodząca od nazwiska wyanalazcy).

Obaj asystenci odetchnęli i niemal równocześnie odezwali się z odcieniem zadowolenia w głosie:

— Wahadło przestało iść.



Na lewo: Przed rozpoczęciem doświadczenia dr. Schembor, kierownik obserwatorjum wiedeńskiego objaśnia swoim współpracownikom połączenie elektryczne wahadła z refraktorem zapomocą odpowiednich rysunków.

— Ach, to fatalne. No tak, moi panowie, dziś już się nie da niczego zrobić — odezwał się dyrektor B., wychodząc ze swej ciemni do pokoju zegarowego.

Na pierwszy rzut oka skonstatował, iż zegar nie idzie.

Przez minutę panowało milczenie. Trzej obserwatorzy przystąpili do badania przyczyny tego osobliwego wypadku. Nagle dyrektor B., który przeszedł do pokoju obserwacyjnego odezwał się:

— Ależ tak, przecież wahadło wybija sekundy.

Rzeczywiście młotek elektryczny tykotał jak przedtem, a wskazówka sekundowa posuwała się po tarczy.

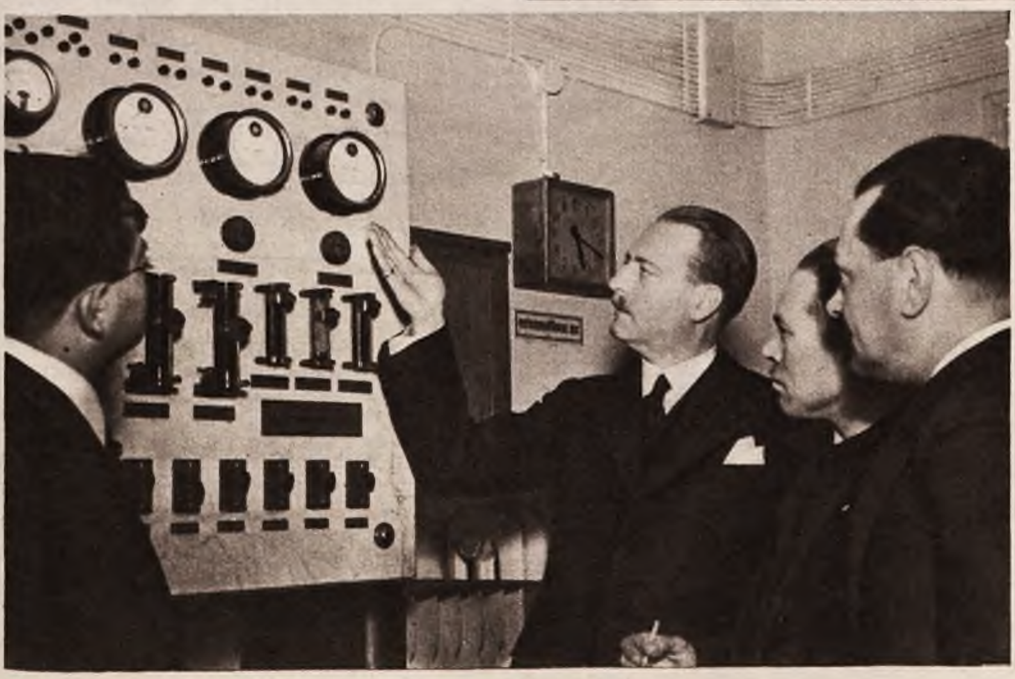
— To bardzo zagadkowy wypadek — odezwał się S. Na wszelki wypadek zróbmy obserwacje porównawcze. Jutro zobaczymy w czem leży błąd.

W każdem obserwatorjum astronomicznem porównuje się zegary przed rozpoczęciem obserwacji i pod koniec jej. Wszystkie zegary, znajdujące się w obrębie obserwatorjum, zapisują na skrawku papieru automatycznie krzywą sekund. Przez porównanie skrawków z temi krzywemi otrzymuje się najbardziej prawdopodobny czas przy pomiarach. Jest to tak zwany czas możliwie dokładny.

Kiedy udawali się do domu snuli jeszcze rozmaite przypuszczenia na temat przyczyny tego osobliwego zjawiska. Kto zatrzymał wahadło? Może była to wina pyłu albo owada, który wpadł w tryby kółek zegara? Ale po wszystkich rozważaniach nie doszli badacze do żadnego wniosku. Mogło się stać, że wahadło poczęło zmniejszać stale swe wychylenia, aż wreszcie stanęło. Ale dlaczego zmniejszało amplitudę swych wahań? Co było czynnikiem hamującym i co stało się wreszcie czynnikiem pobudzającym zegar do ruchu?



Na prawo: Współpracownicy wiedeńskiej „Uranji" śledzą z uwagą ruchy wahadła.



Na lewo; Kpt. Gross wykazuje na aparacie kontrolnym, że wahadło podczas całego doświadczenia nie przestało się poruszać.

Przed rozpoczęciem obserwacji zegary astronomiczne porównano jak najdokładniej.

Następnego dnia rano porównali wyniki obserwacyjne. Obliczenia zgadzały się zupełnie dokładnie. Znaczyło to, że wahadło nie stało, lecz poruszało się nadal.

I znowu wysunęła się kwestja, czy wahadło zostało zahypnotyzowane i usłuchało woli asystentów, czy też nie, lub czy też asystenci zahypnotyzowali siebie samych i czy swego życzenia silną wolą nie narzucili drogą myślową dyrektorowi?

Kpt. Rudolf Gross.

W POGONI ZA PSTRĄGIEM...



Krok za krokiem posuwa się rybak z biegiem rzeki od prądu do prądu, od płani do płani.

Jeden z najwybitniejszych angielskich mężów stanu Sir Edward Grey, minister spraw zagranicznych, który spowodował przystąpienie Anglji do koalicji w sierpniu 1914 r. wydał bardzo ciekawą książkę p. t. „Rybołóstwo muchowe".

Warto przeczytać to dzieło antuzjasty, który każdą wolną chwilę spędzał nad rzeką z wędką w ręku, a ptaszki cenił sobie bardziej od konferencji międzynarodowej. Otóż Sir Edward napisał w swej książce rybackiej znamienne słowa, że „niezapomniany jest dzień w życiu każdego rybaka, gdy po długiem zimowem czekaniu po raz pierwszy udaje się nad wodę. Zieleń wtedy, w taki kwietniowy poranek unosi się jakby nad czubami drzew, a w powietrzu słychać śpiew ptaków, które dumne są, że przetrwały zimę na wyspach Brytyjskich".

Trudno o lepsze oddanie nastroju, jaki towarzyszy rybakowi w wędrówkach z wędziskiem. Rybak bowiem sportowiec, to miłośnik przyrody, dla którego ryba i wędzisko są tylko pretekstami do spędzenia kilku godzin na świeżem powietrzu, w górach, w otoczeniu pięknej przyrody.

Rybołóstwo muchowe uprawiane do połowy XIX wieku prawie wyłącznie przez arystokrację angielską, obecnie spopularyzowało się i ma licznych zwolenników we Francji, w Niemczech, Szwecji, Finlandji, Norwegji, a przedewszystkiem w Polsce. Początki sportu muchowego sięgają u nas lat 1890—1895. Ryb wtedy było co nie miara, szczególnie w Dunajcu, Skawie, Rabie, Sole, i t. d. Jeszcze przed dwudziestu laty, rzeki te poprostu roiły się od pstrągów i lipieni. Dziś te czasy należą niestety do przeszłości.

Przedewszystkiem rzeki wyschły. Rabunkowa gospodarka leśna ogołociła góry z lasów, tych naturalnych rezerwuarów wilgoci, magazynujących wodę deszczową. Ma to ten skutek, że niektóre rzeki upodobniły się obecnie do marnych potoczków. w których żadna ryba utrzymać się nie może.

Próbowano zaradzić złemu przez sztuczne zarybianie narybkiem z wylęgarni, ale metoda ta, zwłaszcza o ile chodzi o łososia, zbankrutowała zupełnie. Nie przyczyniła się bowiem nietylko do powiększenia rybostanu, ale spowodowała wybuch wrzodnicy, która zdziesiątkowała łososie. Pomimo tych smutnych doświadczeń ciągle jeszcze jesienią wyławia się tarlaki, zamiast pozostawić je swojemu losowi, tak, jak to czyni się np. w Szkocji, gdzie sztucznego wylęgu łososia zupełnie zaniechano.

Owszem zarybiajmy Dunajec, czy Skawę narybkiem, ale wyhodowanym z ikry zagranicznej, a nie krajowej.

Osobny rozdział bolączek rybackich stanowi kłusownictwo, niesłychanie rozwielmożnione na całem Podhalu, szczególnie teraz w okresie bezrobocia i nędzy na wsi. Walka z tem kłusownictwem jest prawie że beznadziejna, gdyż jak ktoś słusznie powiedział, trzebaby chyba przy każdym kamieniu postawić policjanta, któryby ryb pilnował.

—:o:—

Tegoroczny sezon, przynajmniej na Dunajcu nie należał do najlepszych. Łowiło się mało, bo powódź zeszłoroczna zdziesiątkowała pstrągi i lipienie. To też wielkim było sukcesem, gdy ktoś wieczorem na rozkładzie miał dziesięć ryb. Łososi złowiono kilkadziesiąt, przyczem pierwsze miejsce zajęli aptekarz Gebauer z Żywca i inż. Szyndler z Krakowa.

A teraz zaczynają się znowu długie miesiące czekania na nowy sezon. Wędki poszły do futerałów, kołowrotków nie zbudzi szarpnięcie łososia, muszki zaś ułożyły się do snu zimowego. I tylko rybacy zbierając się w każdą niedzielę na t. zw. „tarle" będą sobie opowiadać historyjki o minionym sezonie.

Jan Lankau.



Wędka złożona — sezon zamknięty!



Obfity połów pstrągów jest sprawiedliwą nagrodą za liczne trudy rybaka-amatora.



Strażnica przy objazdce, zbudowanej na Dunajcu w celu połowu łososi tarlaków. Stoją od lewej: dr. Lankau, radca Głodkiewicz i strażnik Oswald.
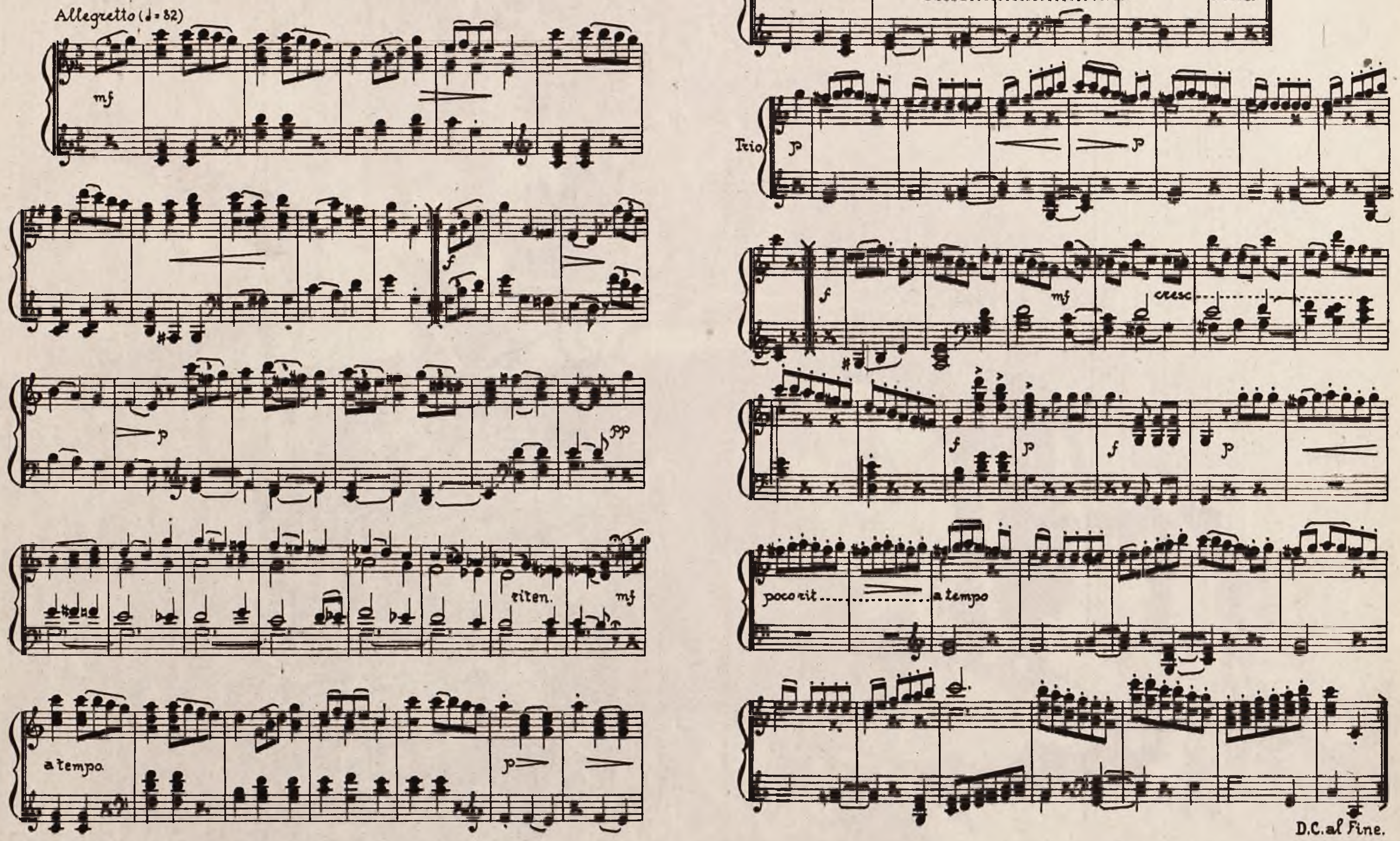
JEJ PIERWSZY PSTRĄG..



NASZA BABCIA.

Menuet.

Muzyka ADOLFA PETERSA.



Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

9-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

Słyszał od czasu do czasu mizerny i nikczemny ich brzęk, kiedy nerwową dłonią sięgał do kieszeni.

A przecież nie mógł się godzić na to, by Vivant poniósł koszta tego wieczoru — tak samo jak nie mógł nie przyjąć zaproszenia nań.

— Ostatecznie — niema co mówić: zdmuchnąłem mu z przed nosa kochankę — wyrzucał sobie miękko. — Nie wolno mi schodzić mu z drogi, unikać go... A jeszcze bardziej, nie wolno mi pozwolić, by płacił za nią i za mnie...

I w myśli przechodził wszystkie rozpaczne kroki, jakie poczynił — i wszystkie zawody, któremi były uwieńczone, od chwili gdy zadźwięczał w telefonie głos Ivana. — Ten uśmiech, z jakim kasjer przedstawił mu kwity z jego własnoręcznym podpisem — kwity na kwotę, równającą się jego półrocznym poborom w redakcji — którą to kwotę, jako zaliczki zdołał mu wydrzeć stopniowo... Ten gest, pełen smętnej rezygnacji. kolegów, na dowód prawdy odwracających kieszenie, świecące metafizyczną próżnią... Ten woźny redakcyjny — zazwyczaj tak przychylnie odnoszący się do niego w podobnych wypadkach — którego zastał przeżuwającego katastrofalny dlań rezultat ostatnich wyścigów, w których, idąc za wskazówkami redaktora hippicznego, zaangażował wszystkie swoje obrotowe fundusze... I tak pobiegł potem do znajomego wielkiego reportera i jak dowiedział się, że ten wyjechał w daleką podróż... A potem do pewnego przyjaciela, doktora, którego zastał w łóżku, pod czułą opieką, nieodstępującej go na krok, żony. Kobieta owa jadowitem okiem patrzyła na takich, jak Le Droz kompanów, wyciągających męża na kosztowne nocne hulanki.

— A jednak muszę wydrzeć, choćby z pod ziemi, przynajmniej 300 franków! — zawyrokował w duchu, wprawiając w ruch kołowrót oszklonych drzwi restauracji. — Honor mój w grę tu wchodzi.

— Wieki już nie widzieliśmy pana, panie Le Droz — przywitał go maleńki strzelec z poufałością, która ze serca płynąc, trafiła odrazu do serca dziennikarza.

— Zajęty byłem — interesy... — odrzekł niedbale.

Na sali, przy stolikach ujrzał tylko kilka dziewcząt, należących do żywego inwentarza lokalu — parę przejezdnych, wybitnie pochodzących z prowincji gości — i kilku starych bywalców, których przywitał ukłonem; lecz wiedział dobrze, że żaden z nich nie mógł przyjść mu z pomocą. Skierował się do baru i usiadł na wysokim taburecie.

— Co za miła niespodzianka, panie Le Droz! — zawołał barman. — Dawno już nie widziało się tu pana.

— Wracam z podróży, Emilu. — Proszę mi dać coś mocnego — wódkę rosyjską.... Nie, raczej kieliszek ginu. Proszę też powiedzieć Gastonowi, żeby mi zarezerwował stolik na trzy osoby.

Nalewając dziennikarzowi, barman pochylił się ku niemu więcej, niż tego wymagała czynność, którą wykonywał.

— Proszę się nie gniewać, panie Le Droz. Pan wie, że jestem panu szczerze życzliwy... — szepnął. — Wolę pana przestrzec: jeżeli pan ma zamiar zjeść tutaj obiad, to niech się pan przygotuje, że nim podadzą go, przedstawią panu wszystkie dawne, zaległe rachunki... Taki rozkaz dyrekcja wydała... — Bogiem, a prawdą — panie Le Droz — sporo ich jest. — Zadużo nawet...

— Nie pozwolę na takie traktowanie mnie! — odparł dziennikarz. — Pójdę więc na obiad do innej knajpy.

A wychylając kieliszek, pomyślał: „U Prospera w „Pingwinie“, w „Ulu“, w „Dunaju“ — wszędzie ta sama sytuacja... Ale jak tak — kiedy mnie do tego zmuszają — to poszukam innego szynku, gdzie na podpis dadzą mi jeszcze obiad“.

Powziąwszy tę decyzję, uczuł wielką swobodę myśli. Aby umocnić się w niej, zażądał drugiej porcji ginu; postawił też kieliszek barmanowi — a wreszcie rozegrał z nim, kto ma zapłacić za wszystko. Le Droz wyłożył pokera od asa — zapłacił więc Emil. Dziennikarz uczuł znowu, jak w żyłach przebiega mu gorący płomień, zwiastujący zwycięstwo — płomień, mający moc naginania losu. W spojrzeniu, którem obrzucił salę, posłał obiadującym w niej wyzwanie, które chociaż nieme, nabrzmiałe było druzgocącą pogardą. Le Droz miał lat dwadzieścia cztery. Wyrobienie rysów, z których biła tężyzna — męskość atletycznej postawy — trzeźwość jego umysłu, zbroiły go wprawdzie w większą dojrzałość do zwycięskiej walki, niż usprawiedliwiałyby to jego lata — lecz do walki w niektórych tylko kierunkach. Mimo wszystko bowiem było w nim jeszcze wiele z młodzieniaszka.

„Będę jeszcze kiedyś bogatszy, sławniejszy, potężniejszy, niż wy wszyscy — mówił w myśli do tego tłumu, rozkoszując się swą wściekłością i patrząc kolejno w twarze: właściciela wyścigowej stajni, bankiera, dyrektora teatru, potężnego redaktora finansowej gazety i wielkiego fabrykanta automobili.

— Nie spodziewacie się, że nadejdzie dzień, kiedy nisko mi się kłaniać będziecie, wy, którzy nie macie o niczem zielonego pojęcia! — Bo czemże wy jesteście? — Kupą banknotów, rutyny, komunałów! — Ja wam pokażę...“.

Nagle Le Droz poczuł się dziwnie nieswojo. Coś przecięło bieg nienawistnych i obelżywych myśli, któremi się delektował. Wydało mu się, jakby ktoś, siedzący niedaleko, z boku, odczytał te myśli i traktował go z pełną wyższości ironją — czyli w sposób, którego najbardziej nienawidził w odniesieniu do siebie.

Le Droz instynktownie wtulił głowę w ramiona, jakby był na ringu i miał zaatakować przeciwnika. Odwrócił się wolno w kierunku, skąd szedł mroźny powiew. W ruchu tym, oczy jego napotkały twarz jakiegoś człowieka, wtulonego w oparcie kanapki i zrozumiał, że człowiek ten właśnie był sprawcą owego zmieszania, które gorącem oblewało mu jeszcze policzki.

A człowiek ten miał w istocie rysy uderzające. Wyłysiałe czoło, o lekko trójkątnym zakroju, jaśniało jakby jakiemś wewnętrznem, łagodnem światłem, dając złudzenie, iż jest urobione z cennego, starannie wypolerowanego materjału. Zdawało się, że ściany i kopuła tej czaszki, prawie, że łysej, nie posiadały normalnej grubości — że zbyt obfita i nadmiernie żywotna substancja mózgowa, którą zawierały, starła je i zużyła. Dalszą historję tej walki między fizyczną powłoką, a jądrem duchowem, które zawierała, czytało się w rysach twarzy tego człowieka. Usta, o wargach cienkich, wydłużonych, niespokojne w rysunku, zdradliwe, a mające jakiś magnetyczny urok zarazem — same w sobie, były już niezmiernie chytrze zastawianą zasadzką. Nos szeroki, lecz misternie wyrzeźbiony i ruchliwy, zdradzał silną zmysłowość. Broda nieco ciężka i tłusta u góry, u dołu nagle wystrzelała naprzód, niby ostrym dziobem okrętu. Energja biła się w niej z jakąś zniewieściałą miękkością.

W tej twarzy — kłusownika i alchemika zarazem — jedynie oczy zdawały się być w zgodzie ze sobą. Blask ich wchłaniał świat zewnętrzny — rozkładał go i budował na nowo, na właści-



Nalewając dziennikarzowi, barman pochylił się ku niemu...

wą im modłę; a na modłę tę składały się: wybitna inteligencja, śmiałość i lotna wyobraźnia.

„Armand Plessoye... — szepnął do siebie Le Droz. Znał tak dobrze tę twarz, że niejednokrotnie na zamazanych zdjęciach w dziennikach, po jednym jedynym rysie był w stanie rozpoznać byłego ministra. — Armand Plessoye — przelatywało mu przez myśl. — Obserwował mnie z profilu... Nie powinienem spuszczać oczu... Ani dać poznać po sobie, że go zauważyłem... To nie jest tak łatwe...

Ku wielkiemu jego zadowoleniu, zdawało mu się, że wybrnął szczęśliwie z tego trudnego zadania, kiedy nagle opadły go na nowo troski, z któremi wszedł do lokalu. Usłyszał bowiem, jak maleńki strzelec przy drzwiach, witając kogoś, mówił:

— Dobry wieczór, panie Ivanie. Nie widzieliśmy już pana dawno u nas!

— Bardzo byłem zajęty — rzekł w odpowiedzi głos, który wydał się bliskim Le Drozowi, chociaż nie słyszał go od pięciu miesięcy. Tak niezatarte zostało mu wspomnienie żywej barwy i radosnego jego brzmienia.

Z trudem tylko dziennikarz opanował poryw wewnętrzny, który parł go, by zeskoczyć z wysokiego taburetu i pochwycić w swe ręce obie dłonie Ivana. Lecz widok Roberty — perspektywa pewnych wyjaśnień, których za chwilę zażądają spewnością od niego, a których, zdawało mu się, wypada mu udzielić tonem jegomościa bardzo wyniosłego i pewnego siebie — zdławiły ten poryw. Z umyślną nonszalancją spuścił się wolno z taburetu i nie spiesząc się, podszedł ku parze młodych ludzi, układając usta w najbardziej zdawkowy i pełen godności uśmiech.

Ale czyż istniała wogóle jakaś powaga, jakaś obojętność, zdolne oprzeć się przywitaniu Vivanta? A cóż dopiero mówić o masce godności i sztucznego chłodu, którą z trudem nałożył na się Le Droz!

— Mój drogi! — Srogo jestem ukarany, że leniłem się odszukać cię! — Popatrz na tę gębę, Roberto i na te ramiona! Mocne są — wspaniałe — i dają poczucie bezpieczeństwa. — I pomyśleć: od dwóch miesięcy, jak dureń włóczę się sam po tym Paryżu! I dziś nawet, gdyby nie Roberta... Wolę zaraz ci powiedzieć: spałem u niej dzisiejszej nocy. — Nie powinienem był... bez twojego upoważnienia... Ale to przez tego Roya Robinsona... — Nie znasz go? — To taki murzyn, dla którego nóg niema nic niemożliwego... I tem jest podobny do Boga Ojca, mój drogi. — I pomyśleć, tyle czasu straciliśmy — ty i ja! — Jakże się cieszę — jak cieszę!! — Słuchaj stary — nie masz do mnie pretensji o Robertę — powiedz? — Naprawdę nie masz?

Dziennikarz czuł się zawstydzony w obliczu tej prostoty i tej serdeczności. Nie mąciła ich ani jedna kropla żółci, nie mroczył nawet cień zranionej pychy, czy zazdrości. Jakże dalekim był Vivant od tego upadlającego błota, w którem, w podobnych okolicznościach grzęźnie fizyczna ambicja mężczyzny — tego lepu, w którym szarpie się i krwawi jego miłość własna! Zmiejsca też przymus, jaki sobie zadawał, prysnął — i Le Droz stał się napowrót sobą.

— Cicho bądź! — Jeżeli który z nas znalazł się brzydko, to...

— To ja — wpadła mu w mowę Roberta. — Ale mimo to, dajcie mi się napić czegoś.

Le Droz spojrzał z wdzięcznością na młodą kobietę. Roberta posiadała w wysokim stopniu sztukę czynienia lekkiem wszystkiego, co życie niosło ze sobą. Talent tem wzbudzał w nim zawsze podziw i wdzięczność. W ciągu całego ich pożycia i — co było trudniejszem! — kiedy już stosunek ich miał się ku końcowi, Le Droz miał wrażenie, że kobieta ta jakby nie podlegała sile ciężkości. Z jakąż prostotą, z jaką szlachetnością, Roberta potrafiła odsunąć się od niego! I poczuł, że przyjaźń serdeczna, którą żywił dla niej, wzrastała ciągle, w miarę jak usuwał się w cień okres, kiedy to łączyły ich węzły cielesne.

— Vivant nie dał mi dotąd przywitać się z tobą — począł mówić do niej. — Dajże się ucałować — tak — w jeden i w drugi policzek, jak staremu przyjacielowi. Marzyłem o twoich policzkach, Roberto, jak wędrowiec, spragniony wśród piasków wzdycha do świeżej krynicznej wody.

— Nie tak dokuczliwem było to pragnienie, skoro przez trzy tygodnie...

— Wiem, wiem, to moja wina. Ale, widzisz, tak bardzo mi przykro, kiedy cię widzę w kłopotach pieniężnych, i nie mogę pomóc ci w niczem... Czy dobrze ci jest u matki?

— Ale! Byłam u niej tylko jeden dzień. Mama wzdycha ciągle, i chce mnie koniecznie wydać znow zamąż. A najchętniej wydałaby mnie spowrotem za mego byłego męża. Rozumiesz, to było nie do zniesienia.

— Gadajcie sobie — odezwał się Vivant — a ja pójdę przygotować wam coctail. To mój wynalazek z czasów, kiedy byłem jeszcze w eskadrze.

Po chwili, wstrząsając w srebrnym kubku mięszaninę najrozmaitszych alkoholi i korzeni, pod bacznem okiem barmana. Vivant zapytał cicho:

— Jak myślisz, Emil — czy dostanę jeszcze u was obiad na kredyt?

— Jeśli mam być szczerym, to nie, panie Vivant. Ale spróbuję dowiedzieć się...

Lecz kiedy barman wrócił, twarz jego wykluczała wszelką nadzieję.

— Czy możesz pożyczyć mi tysiąc franków? — zaczął znów Ivan.

— Z przykrością, ale nie...

— Więc ile?

— Pięćdziesiąt — i to tylko, żeby zaokrąglić sumę...

— Zaokrąglić — jaką sumę?

— Cztery tysiące.

— Dobrze, że mi przypomniałeś, będę pamiętał...

— Tak, dobrzeby było, żeby pan nie zapomniał...

— Dobrze, dobrze. — A teraz, każ nam podać kieliszki.

I usiadłszy obok Le Droza westchnął:

— Mam zamiar ustatkować się, żeby mnie szanowano. Nie myślcie, że tylko durnie, tchórze i mantyki cieszą się szacunkiem ludzkim. Dowodem tego jesteś choćby ty, Le Droz.

Le Droz rzucił podejrzliwem okiem na przyjaciela. Lecz wystarczyło spojrzeć nań, by przekonać się, że Ivan nie kpi. Ta naiwna wiara Vivanta wzbudziła w dzienikarzu poczucie własnej wartości. Przecież w „Petit Francais" uważano go za najzdolniejszego z reporterów i powierzano mu ważne wywiady w dalekich krajach; poważne tygodniki zwracały się o artykuły do niego. Lecz czemże było to wszystko wobec jego ambicyj — jego potrzeb finansowych — a przedewszystkiem wobec jego bezinteresownej całkiem pasji do dziennikarstwa?

— No tak, nie mogę się skarżyć... — rzucił górnie.

Lecz podziw, malujący się w skośnych, rozszerzonych zainteresowaniem oczach Ivana, życzliwość z jaką odnosiła się doń Roberta, sprawiły, iż dziennikarz porzucił prędko ów ton nieszczery zadowolonego pyszałka. Patrząc w ich twarze, czerpiąc wiarę w przyjaźni i ufności, jakiemi go darzyli, Le Droz dał się porwać swemu marzeniu — najtajniejszemu, a władającemu nim najprzemożniej.

— Nie, to nieprawda! Nie jestem zadowolony z tego, co mam! — zawołał z mocą. — Duszę się wśród tych nędznych spraw i interesów, wśród ludzi, w których ręce niegodne dostał się ten cudowny mechanizm, jakim jest prasa. Tych czynowników dziennikarstwa, tych redaktorów dusigroszów! We wszystkich redakcjach większych dzienników jest to samo! Rzucają człowiekowi ledwo kość do ogryzienia — i każą mu być na usługi spraw, w których niema nic wielkiego! — A tu tyle jest do zrobienia! Gdzie spojrzeć, leżą skarby prawdziwe! I bezcześci się je, zabija przez płaską głupotę i tchórzostwo!

(Ciąg dalszy nastąpi).













ARBITER ★ ELEGANTIARUM.

Coś niecoś o konwenansach.

„Tempora mutantur et nos mutamur in illis".

Tem klasycznem przysłowiem zwykliśmy określać przejawy zmian, jakie w ciągu wieków zachodziły w życiu społeczeństw. A że i obyczaje ulegały daleko idącym metamorfozom, ciekawem będzie rozpoznanie ich na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu, przy końcu których wpływy stosunków amerykańskich, a jeszcze bardziej skutków doby powojennej, przyniosły niejednokrotnie obce nam — Europejczykom formy współżycia towarzyskiego.

Oto leży przed nami niezwykle ciekawy wywiad z kapitanem Jamesem Hotchissem, sekretarzem lorda Disraeli Beaconsfield, premiera królestwa Wielkiej Brytanji u schyłku XIX wieku. Hotchiss uchodził wówczas za arbitra elegantiarum i słynął nawet poza granicami Anglji ze swych niezwykle wytwornych manier.

Jak w wielu fragmentach wywody Hotschissa wydają się niejednemu z nas — dzieci XX wieku — dziwnemi i niezrozumiałemi! A jednak były one wyrazem naturalnej wytworności, wypływającej z wysokiej kultury wielu pokoleń. Przysłuchajmy im się! To przecież mówi pierwszy sekretarz twórcy imperjalizmu brytyjskiego, człowieka, który ośmielił się niejednokrotnie krytykować strój i maniery ks. Walji:

„Nie rozumiem, dlaczego zachowanie moje wydaje się wam tak dziwne i trudne do naśladowania. Przecież każdy z was, rodowitych Anglików ma chyba to już oddawna w naturze swej wpojone, że gentleman powinien zawsze i wszędzie uszanować pierwszeństwo kobiety i jej naturalne prawa do naszych specjalnych względów.

Wierzcie mi, że z tego założenia wychodząc i pilnie je w życiu przestrzegając, nigdy nie zatracicie równowagi na drodze waszych towarzyskich sukcesów. Wówczas na równi z niejednym „lwem salonowym" uchodzić będziecie w oczach otaczających was kobiet za stuprocentowych gentlemanów. — Zdobędziecie też powodzenie i w sprawach ogólno-życiowych — w myśl znanej zasady: dobre wychowanie otwiera wszystkie wejścia!

Formy uprzejmości zmieniają się wprawdzie i to zależnie od przekonań ludzkich, jakie w danej epoce przodują; jednak reguły dobrego wychowania w stosunkach między ludźmi muszą pozostać zawsze tesame. Gentleman — a za takiego pragnie chyba każdy z was uchodzić — zachowuje się wobec kobiety poprawnie zarówno wtedy, gdy go ktoś obserwuje, jak i wówczas, gdy pozostaje z damą swego serca w czułem sam na sam. Nie znaczy to, by między dwojgiem ludzi nie mogła zaistnieć pewna poufałość, która jednak nigdy nie powinna nosić w sobie zarodka brutalności. Tak zwane „wersalskie maniery" bynajmniej nie są przesadą, lub przywilejem arystokracji. Naturalnie i one, jak właściwie i wszystko inne w życiu, stają się śmieszne, gdy stosujący je nie umie zachować umiaru i znaleść właściwego dla nich miejsca.

Niejednemu z was wydaje się, że w życiu zachodzi więcej takich okoliczności, w których mężczyzna, idąc, wyprzedza kobietę. Tymczasem tylko schodząc ze schodów powinien się on znaleść na pierwszem miejscu, by w razie wypadku służyć swej damie pomocą. Przychodząc z kobietą na jakieś przyjęcie gentleman ma obowiązek troszczenia się o wszystkie jej potrzeby i towarzyszenia jej przez cały czas trwania wieczoru, nawet wówczas, gdy pozna tam inną, której uroda wywarła na nim piorunujące wrażenie. Będzie miał bowiem wiele innych sposobności okazania tej drugiej swego zachwytu, o ile rzecz prosta spryt jego i silna wola wytrzymają próbę cierpliwości przy niesprzyjających jego zamiarom okolicznościach.



Prawdziwy gentleman nie może **n i g d y** brutalnie przeciwstawić się woli kobiety Powinien tylko, jeśli jest odmiennego zapatrywania, umieć ją przekonać, że jest w błędzie, lub wyrządza mu krzywdę. Gdy nie potrafi tego dokazać, przepadł z kretesem, bo wszystkie inne drogi pozostają dla niego zamknięte. Największym wrogiem młodzieńca, który „wkracza w życie", jest gadatliwość. Ale nierzadko się zdarza, że staje się ona udziałem ludzi dojrzałych. Jak długo nie szkodzi ona dobrej sławie kobiety, lub honorowi innego mężczyzny, odnosimy się do jej przejawów z dużą pobłażliwością. Stanowisko to nie jest słusznem choćby z tego powodu, że stwarza niebezpieczeństwo zrodzenia się manji do plotkarstwa, które w wysokim stopniu ubliża godności mężczyzny, a w stosunku do kobiet zawsze szkodzi jego powodzeniu".

Oto część wywodów Hotchissa. Niewątpliwie wzbudzą one w niejednym, na dzisiejszą modłę „skrojonym" arbitrze poważne wątpliwości i przy czytaniu ich pojawi się na jego obliczu uśmiech politowania. Niewiadomo tylko, jaki wyraz miałaby twarz pierwszego sekretarza lorda Disraeli Beaconsfielda, gdyby danem mu było przypatrzeć się zbliska konwenansom dzisiejszego życia towarzyskiego. A trzeba pamiętać, że był to 100-procentowy gentleman!

Rodney.





ZROBIĘ TO SAMA...

M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI IGIEŁKOWE

II.

W igiełkowych koronkach mamy dwa ściegi zasadnicze, jeden to ścieg dzierg an y, a drugi ścieg słupkowy. Ściegiem dzierganym robimy płócienko, a ściegiem słupkowym dziurki, tiulik i rozmaite desenie igiełkowe, zwane „robótkami" w tej technice.

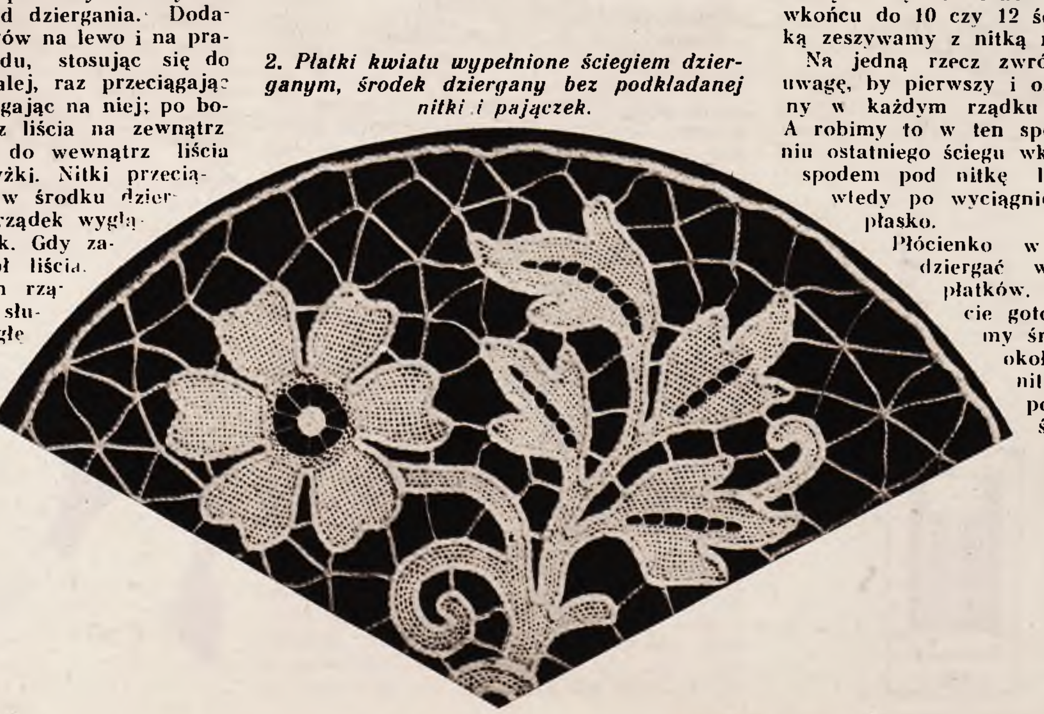
Przy szyciu koronek nie wolno nigdy zaczepiać o ściegi fastryżki, które nitkę leżącą na konturze przytrzymują, bo po skończeniu roboty, gdy z lewej strony ściegi fastryżki poprzecinamy, to one nie mogłyby się wysunąć z dziurek, gdyby na prawej stronie były zaczepione. Wtedy robota zamiast czysto odejść od papieru, byłaby nastrzępiona niteczkami z przeciętych ściegów. Szyjąc więc koronki, zaczepiamy tylko o nitkę leżącą na konturze między ściegami fastryżki.

Dziergać należy dosyć rzadko, by potem płócienko nie nadymało się. Ilość ściegów stosować musimy do kształtu liścia. Nie dziergamy więc odrazu na całym boku, bo liść jest wypukły, a dziergać należy w tym wypadku po linjach prostych. Dziergamy wzdłuż, bo wtedy listek wydaje się smuklejszy. W pierwszym rządku dziergamy zaledwie 10—12 ściegów, zaczepiając o nitkę leżącą na konturze na boku liścia. Następnie przeciągamy nitkę popod zrobione ściegi, jak opisałam w pierwszym artykule i zaczynamy drugi rząd dziergania. Dodajemy już po kilka ściegów na lewo i na prawo poprzedniego rzędu, stosując się do kształtu liścia i tak dalej, raz przeciągając nitkę, a drugi raz dziergając na niej; po bokach zaś wychodząc z liścia na zewnątrz i wracając napowrót do wewnątrz liścia między ściegami fastryżki. Nitki przeciągnięte kryją się więc w środku dziergania i dlatego każdy rządek wygląda jak wypukły prążek. Gdy zadziergamy prawie pół liścia, robimy środkiem jeden rządek dziurek ściegiem słupkowym, wkładając igłę w każde drugie oczko dziergania. Kto umie dziergać dziurki w bieliźnie, ten łatwo zrobi ścieg słupkowy. Wbijamy więc igłę do połowy w oczko lub w dany punkt pod nitkę na konturze, gdy robota jest mała, to bawełnę przytrzymujemy trzecim zgiętym palcem w tyle roboty, a szpic igły podpieramy pierwszym palcem i owijamy go ku sobie bawełną wiszącą koło uszka igły, następnie wyciągamy igłę prosto przed siebie i widzimy w robocie gotowy słupek. Bawełnę na dole należy przy każdym słupku przytrzymać mocno trzecim albo czwartym palcem lewej ręki. (Wzór pod l. 1).



1. Rozpoczęta druga połowa listka po zrobionym rzędzie dziurek.

2. Płatki kwiatu wypełnione ściegiem dzierganym, środek dziergany bez podkładanej nitki i pajączek.



Ten ścieg słupkowy możemy robić trochę inaczej, ale wygodnie jest szyć go od ręki prawej ku lewej.

Zaczepiamy więc nitkę o oczko w gotowym wydzierganym rządku albo przed oczkiem na konturze i zarzucamy nitką na lewo pętlicę (kółko) przed oczkiem, potem wkładamy igłę od siebie w oczko i w środek pętlicy. Pętlica zamknięta musi leżeć przed szpicem igły i dopiero igłę można w nią włożyć. Gdy igłę wyciągniemy, zobaczymy gotowy słupek.

Dalej zarzucamy znowu pętlicę na lewo, wkładamy igłę w oczko i w środek pętlicy i wyciągamy do góry drugi gotowy słupek.

Gdy dziurki gotowe, wracamy okrętką jeden ścieg w jednej dziurce, ale od dołu, aby je podciągnąć do góry i wyrównać.

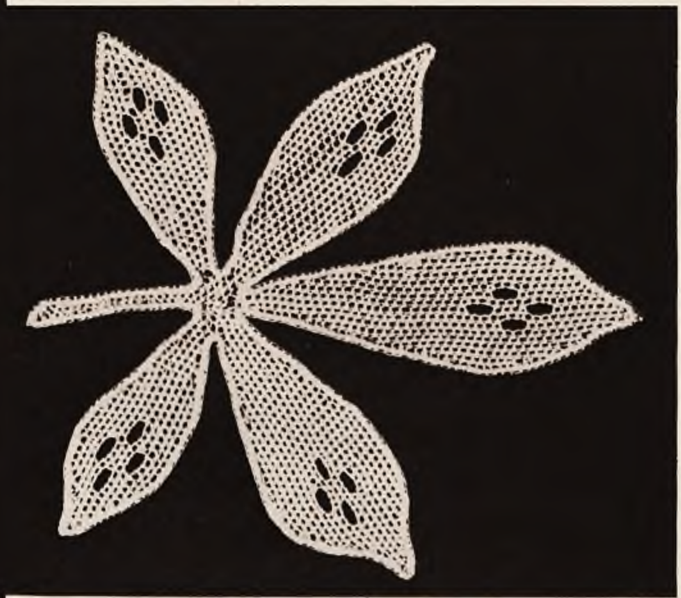
Na dziurkach bez przyciągnięcia nitki zaczynamy dziergać drugą połowę listka. Ściegów dzierganych po bokach będzie w każdym rzędzie coraz mniej, aż dojdziemy wkońcu do 10 czy 12 ściegów, które okrętką zeszywamy z nitką na konturze.

Na jedną rzecz zwrócić jeszcze muszę uwagę, by pierwszy i ostatni ścieg dziergany w każdym rządku płasko się układał. A robimy to w ten sposób, że po zrobieniu ostatniego ściegu wkładamy igłę zawsze spodem pod nitkę leżącą na konturze, wtedy po wyciągnięciu igły ścieg leży płasko.

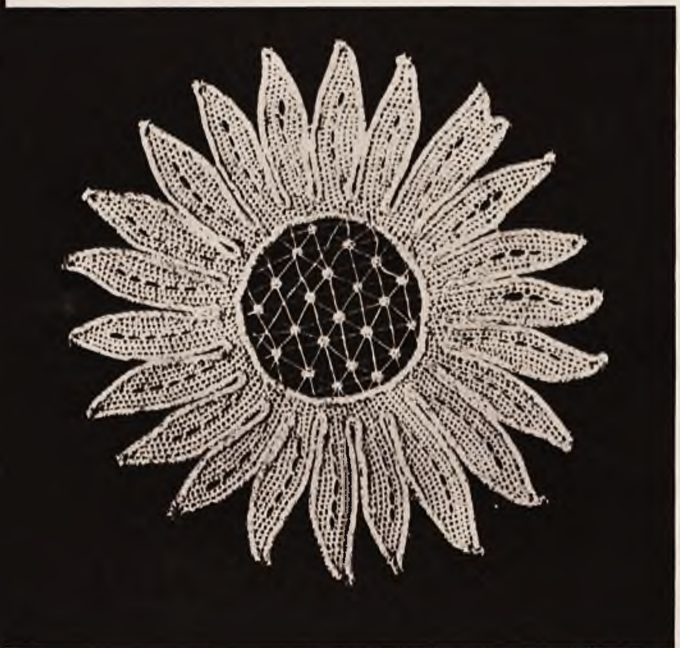
Płócienko w kwiecie możemy dziergać wzdłuż albo wszerz płatków. Gdy płatki w kwiecie gotowe, wtedy dziergamy środek 3—5 razy naokoło bez podłożonej nitki, zaczepiając o podstawę płatków, bo środek kwiatu musi być cieńszy i delikatniejszy jak płatki wypełnione samem płócienkiem (co widzimy na wzorze pod l. 2). Przy płatkach zaś ażurowych robi się przeciwnie. W środku kwia-



Koronka na obramowanie serwetki.



3. Listek z t. zw. weneckiemi dziurkami.



Margeritka wykonana ściegiem dzierganym z weneckiemi dziurkami.

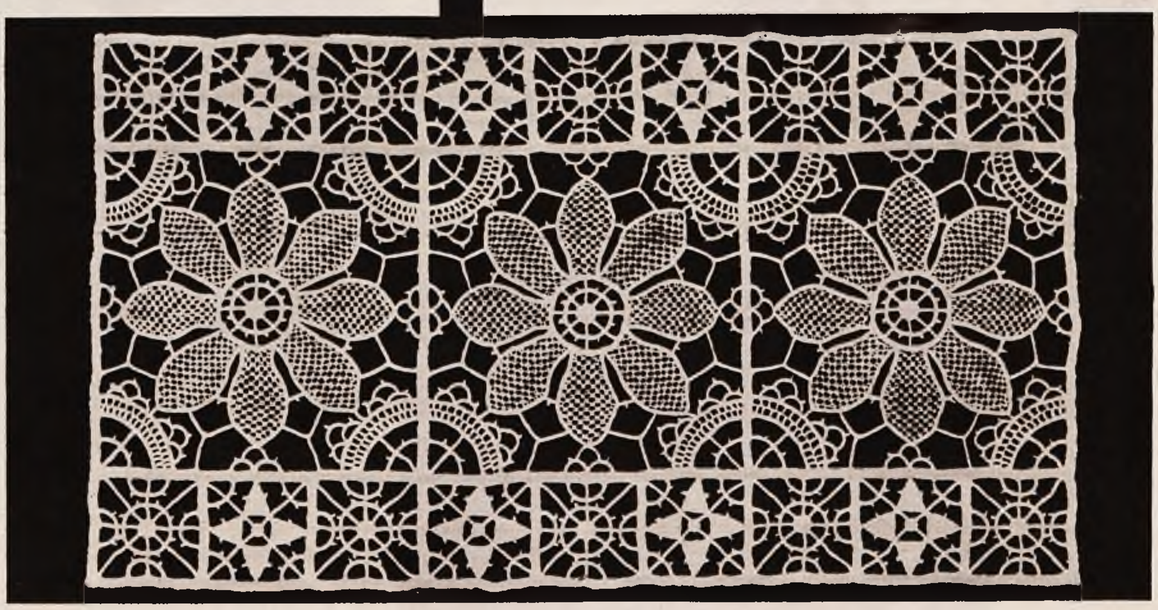
tu szyjemy zwykle jakąś robótkę na tych doszytych kilku rzędach, albo robimy pajączek na pojedynczych nitkach.

Gdy mamy wyszywać większą płaszczyznę płócienkową, możemy zrobić na niej i ozdobne dziurki tak zwane dziurki weneckie. A robimy je w ten sposób: Po zrobieniu w jakimś szczególe kilku rzędów płócienka obliczamy, ile mamy ściegów w ostatnim rzędzie, a dziergając następny rząd, zostawiamy w samym środku 2 albo 3 oczka niezadziergane. W tem miejscu zostawiamy przeciągniętą niteczkę i dziergamy dalej do końca. Teraz pod dzierganiem przeciągamy, jak zwykle, nitkę i widzimy pod dziureczką już dwie nitki przeciągnięte.

Dziergając dalej następny rząd zostawiamy po bokach tej dziurki także takie same otworki na 2—3 oczkach, ale pierwszą dziurkę zadziergamy u podstawy razem z temi dwiema niteczkami. Ściegów w tem miejscu należy zrobić także 2 lub 3. Dalej w następnym rządku zadziergamy boczne dziurki z zostawionemi niteczkami, ale zostawiamy znowu próżne miejsce w samym środku prosto pod pierwszą dziurką, a na dole między dwiema bocznemi dziurkami. Wzór z takiemi ozdobnemi dziurkami widzimy w liściu pod l. 3. Można także zrobić jeden rząd samego dziergania po zamknięciu pierwszej dziurki, a dopiero w następnym rzędzie robić boczne dziurki, a po nich znowu cały rząd dziergania i t. d.

Gałązki we wzorze powinny być dziergane wzdłuż. Pierwszy rząd na gałązce dziergamy na nitce konturowej, a następnych kilka rzędów na nitce podłożonej. Gdy gałązka jest długa a trochę falisto wygięta, wtedy trudno jest wymierzyć długość zawróconej nitki. Podkładamy więc kawałek innej nitki i na niej dziergamy. Gdy nitki tej zostanie kawałek, to się ją ucina. Następny rządek dzierga się znowu na nowo podłożonym kawałku nitki.

Przy niektórych łodyżkach mamy po bokach wystające wyrostki, albo znów ogonki w listkach. Kawałeczki te można dziergać wszerz albo wzdłuż na przeciągniętej nitce aż do granicy wzdłuż głównej łodygi. Gdy te drobiazgi gotowe, wtedy dziergamy łodygę wzdłuż, zaczepiając (dziergając) po drodze o te wyrostki bo wszystkie szczegóły koronki muszą się razem trzymać. W przeciwnym razie robota po zdjęciu z papieru rozleciałaby się.



Na prawo: Wzór włoskiej koronki igiełkowej t. zw. „Reticello".

Życie towarzyskie i artystyczne

Pokaz psów w Londynie.



Do najbardziej „arystokratycznych" psów należą bezwątpienia rosyjskie charty zwane „borzoj". Rzadko piękne okazy tej rasy posiada angielska sportsmenta miss Dulcie Wilde Rice of Formby, która na wystawie psów w Wembley otrzymała za nie jedną z pierwszych nagród.

Nowe dziwo mody kobiecej.



Kobiety londyńskiego high-life'u podziwiają nową modę bucików damskich, zrobionych z oryginalnej skóry, przypominającej kolorami barwność piór pawia lub bażanta. Wielką zwolenniczką nowej mody jest znana aktorka filmowa miss Jean Colin.

Paula Wessely wyjeżdża z Europy?



W kole: Paula Wessely stwarza w ostatnim swym filmie „E p i z o d" kreację, o której mówi dziś cała Europa. Świetna ta artystka dramatyczna, której każde pojawienie się na deskach teatrów wiedeńskich jest tam komentowane jako wyjątkowy ewenement artystyczny, ma podobno wkrótce opuścić stolicę naddunajską, przenosząc się na stały pobyt do Ameryki.

Wystawa porcelany w Poznaniu.

W salonach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu otwarta została ostatnio nadwyraz ciekawa wystawa porcelany, — zdobionej artystycznie przez p. Ebinową. Wystawa przynosi dużo nowych walorów artystycznych.



Wznowienie starej operetki.



Teatr Wielki w Poznaniu, licząc się z gustami publiczności lubiącej piękne, melodyjne operetki przedwojenne, wznowił ostatnio operetkę Lehára „Hrabia Luksemburg". Na zdjęciu p. Dudiczówna w roli primadonny Angèle Didier i p. Horski jako dyplomata książę Rumuneszti.

Poniżej: Jean Harlow zawdzięcza swój urok również zabiegom kosmetycznym, które utrzymują ją zawsze „pod bronią".

Zanim przystąpi Pani do t. zw. makijażu i chciałaby Pani przytem, ażeby upiększył on twarz naprawdę, zacząć trzeba od pielęgnowania cery. To jest rzeczą najważniejszą. W żadnym bowiem wypadku nie powinien makijaż służyć do zakrycia złej cery, albo cery niezdrowej.

Sztuka szminkowania się czyli makijażu, polega przedewszystkiem na podkreśleniu i na sprecyzowaniu wyrazu twarzy. Dlatego też, być może, róż tu jest najważniejszy.

Róż ma dwa zadania do spełnienia, które na pierwszy rzut oka wydają się przeciwstawnemi. Przywraca on bowiem do odpowiedniej formy wysunięte części twarzy, przez co równocześnie podkreśla te, które są raczej cofnięte. W ten sposób więc, zależnie od tego, czy chce Pani poszerzyć owal swej twarzy,

oczy. Wrażenie jest naprawdę bardzo ujemne. Powieki powinny być tylko podcieniowane, ażeby nadać pewną głębię spojrzeniu, a barwik winien być dobrany, zależnie od barwy oczu. Niech Pani używa szminki szaroniebieskawej, jeśli Pani ma oczy niebieskie, kasztano-



Salon piękności „Asa" Sztuka upiększania twarzy.

czy też go uszczuplić, nakłada Pani róż na pełne policzki, albo na te miejsca, gdzie chcemy zmniejszyć owal, używając go zresztą z zasady bardzo niewiele. Wszelka przesada — pamiętać o tem trzeba koniecznie — nadaje twarzy wygląd wulgarny.

Analogiczne znaczenie dla rysów twarzy ma jego przeciwieństwo, tj. jasny puder. Jakąkolwiek karnację Pani posiada, zawsze można posługiwać się pudrem jaśniejszym, ażeby nim wymodelować pewne rysy twarzy, a przedewszystkiem, aby uzyskać jednolity odcień cery na całej twarzy. Nigdy nie należy pudrować się, wcierając puder na twarz, natartą jakimś kremem. Pudrowanie polega tylko na lekkiem przyprószeniu twarzy we wszystkich miejscach. Po chwili należy zetrzeć zbędny puder, który nie przylegl dobrze do skóry, używając delikatnego puszku.

Róż na wargi powinien być nakładany z niezwykłą starannością. W 9-ciu wypadkach na 10, powinien się ograniczać do zaakcentowania barwy warg, pozostawiając ich rysunek naturalny. Może się jednak zdarzyć, że albo powiększa się albo zmniejsza rysunek warg, co też często, gdy usta są zamałe, nadaje wyraz laleczkowaty. W takim wypadku należałoby zalecić poprzednie obrysowanie specjalnym ołówkiem, a następnie staranne założenie pomadki w zakreślonych granicach. Ażeby róż na wargach mocniej przylegał, trzeba zacząć od przypudrowania warg. Na tem matowem tle zabieg z różem wypadnie daleko lepiej.

Przy podmalowywaniu powiek trzeba być bardzo dyskretną. Niema rzeczy wiecej niemodnej i śmieszniejszej, jak podczernione

wej, jeśli ma Pani oczy ciemne, a jeśli oczy Pani są zielone — brązowej.

Bardzo piękne wrażenie, szczególniej wieczorem, czyni lekkie natłuszczenie powiek, co nadaje oczom wiele blasku.

Brwi — to zdaje się jest element może najważniejszy na twarzy. Należy dbać usilnie o to, ażeby brwi były wąskie i regularne. Twarz nie robi nigdy wrażenia regularnej, o ile brwi są nastrzępione.

Jeśli chodzi o kształt brwi, to skończyła się już moda brwi mefistofelesowskich! Jedyną poprawką, jaką można zrobić, to zmniejszyć brwi od dołu lub od góry, zależnie od tego, czy chce się powiększyć czy pomniejszyć czoło. Ogólnie biorąc, należałoby brwi umniejszać raczej od dołu. Dbałość o ich rysunek odwdzięcza się rzetelnie, bo łuki brwi, pięknie zakreślone, czynią twarz młodą i przydają regularności rysom.



W Stanach Zjednoczonych piękne panie używają specjalnego aparatu elektrycznego celem usuwania niepotrzebnych włosów, rosnących nad brwiami.

Tych kilka rad daję, ażeby służyły Pani jako podstawa do makijażu. Dopełni je Pani instynkt i własne poczucie piękna... Ale przedewszystkiem, jeżeli jest Pani młoda i piękna, nie należy przesadzać w używaniu szminek, gdyż piękniejsze od wszelkich środków sztucznych posiada Pani w darze od natury.

Michell Arbaud (Paryż).

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA Z ŚWIEŻYCH GRZYBKÓW. 4 łyżki oczyszczonych i cienko pokrajanych grzybków udusić z małą siekaną cebulką na łyżce masła. Tuż przed obiadem wsypać łyżeczkę mąki, poddusić chwilkę, zalać rosołem z kości bez jarzyn, posolić i podprawić ósemką młodej śmietany.

BUDYŃ Z KWAŚNEJ ŚMIETANY. 2 dkg masła i 4 żółtka utrzeć dobrze z 4. łyżkami cukru z zapachem cytrynowym, dodać 4 łyżki gęstej śmietany, pianę z 4 białek, oraz 3 łyżki sypkiej mąki. Gotować na parze w formie budyniowej, wysmarowanej masłem i wysypanej grubym cukrem. Budyń ten podaje się oblany rozpuszczoną marmoladą lub szodonem.

KIEŁBASA Z JABŁKAMI (Przepis amerykański). Pół kg kiełbasy siekanej umyć, następnie pokrajać na kawałki pięciocentymetrowe, osmażyć w ryneczce na maśle. 3—4 duże jabłka pokrajać w ćwiartki, nie obierając łupki, wybrać tylko ośrodki. Jabłka dodać do osmażonej kiełbasy i dusić razem pod pokrywą aż jabłka zmiękną, tj. około 15 minut. Podaje się w rancie z puree ziemniaczanego.

SAŁATA Z SUROWEJ KAPUSTY. Małą główkę białej kapusty pokrajać na ćwiartki, sparzyć ukropem, odlać i drobno pokrajać; dodać 25 dkg marchewki karotki, pokrajanej drobno, posolić i wymięszać, ścisnąć i pozostawić na desce 3 godziny. Następnie wyciska się silnie z soli, dodaje siekanego kwaśnego ogórka i polewa sosem utartym z 2 twardych żółtek, 4 łyżek oliwy i octu do smaku. Białka posiekane dodaje się do sałaty i wszystko razem dobrze mięsza. Przed podaniem musi stać pół godziny.

PRAWDZIWY WĘGIERSKI GULASZ sporządza się z wieprzowego i wołowego mięsa w równych ilościach. Pokrajane w kostkę i osmażone na smalcu z cebulą, dusi się je pod pokrywą, aż sok, który mięso puści, zupełnie się wysmaży. Wtedy podlewa się gorącą wodą do przykrycia, dodaje sporo papryki i parę pomidorów, soli wedle potrzeby i gotuje dalej pod przykryciem, dolewając gorącej wody aż wszystko zmięknie. Sosu, który powinien mięso pokrywać, nie zagęszcza się w Węgrzech mąką ani zasmażką, powinien być czerwony od pomidora i papryki bez dalszej przyprawy. Gulasz węgierski podaje się na głębokim talerzu, stawiając obok całe nakrycie, tj. nóż i widelec, a także łyżkę, której Węgier używa do jedzenia sosu gulaszowego z chlebem.

BUDYŃ Z JABŁEK. 4 żółtka utrzeć z 20. dkg cukru pudru. Dodatki: 6 dkg rodzynek, pół łyżeczki cynamonu lub skórka cytrynowa, 4—5 średniej wielkości jabłek, pokrajanych cieniutko, kieliszek rumu, piana z 4 białek lekko wmięszana wraz z 4. łyżkami (około 8 dkg) przesianej tartej bułki. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać bułeczką, spód formy wyłożyć paskami smażonej skórki pomarańczowej w formie gwiazdy, nałożyć przygotowaną masę, zamknąć szczelnie formę i gotować na parze przez godzinę. Osobno podaje się rozgotowaną marmoladę morelową.

KONFITURA Z ZIELONYCH POMIDORÓW. 1 kg twardych zielonych pomidorów pokrajać w talarki. Z 1. kg cukru i szklanki wody ugotować gęsty syrop, wrzucić pomidory wraz z pokrajanemi w plasterki dwoma cytrynami obranemi dokładnie z pestek. Konfiturę smaży się przez godzinę i kwadrans, powoli, na kraju blachy, poczem składa się ją gorącą w słoje; po ostudzeniu nakłada się krążek papieru umaczany w rumie i zawiązuje.

Sc. Ko.

NOWOŚCI KUCHENNE



Do krajania strączków fasoli i zielonego groszku istnieje osobna, bardzo praktyczna maszynka, którą reprodukujemy na naszem zdjęciu.

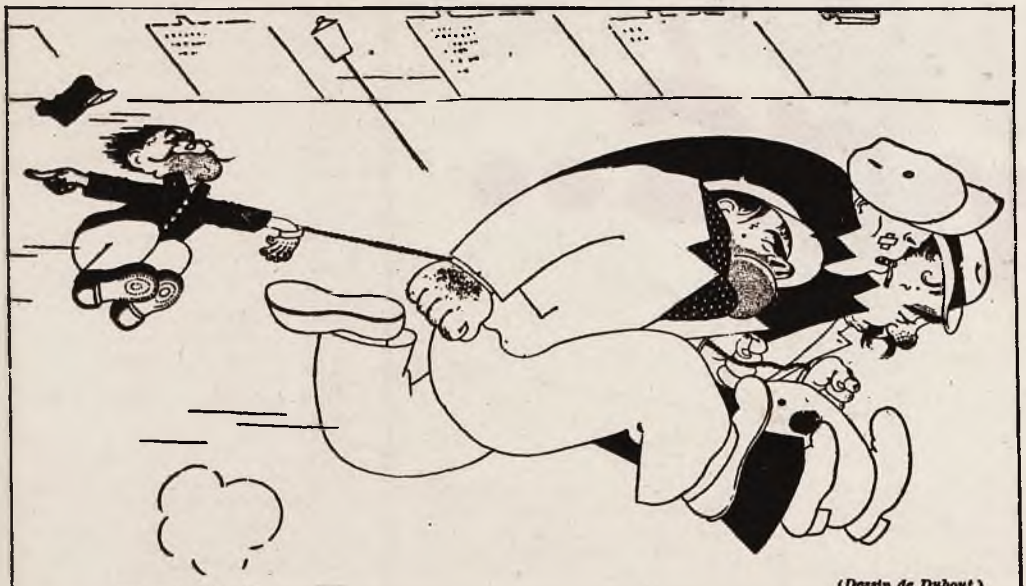
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd. — Tydzień 43	PAŹDZIERNIK — Dni 31
Niedziela **20** Jana Kantego 23 T. Rad. z pr.	Zupa rumiana "Julienne". Sztuka mięsa w pomidorach. Polędwica pieczona w cieście z mieszaną sałatą. Kisiel żurawinowy z kremową śmietanką. Kolacja: Zimny półmisek z sałatą.
Poniedziałek **21** Urszuli 24 Tiszri	Zupa pomidorowa z ryżem. Płucka cielęce w sosie cytrynowym. Kurczęta pieczone z ko[mpotem]. Budyń orzechowy. Kolacja: Strudel z słodką kapustą.
Wtorek **22** Korduli 25 Tiszri	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Ragout z podróbek gęsich z ryżem. Gęś pieczona z kapustą duszoną z jabłkami. Krem brulée. Kolacja: Kotlety ziemniaczane i rydze duszone z cebulką.
Środa **23** Jana Kapistr. 26 Tiszri	Zupa ze śliwek. Omlet z grzybkami. Pieczeń barania z czerwoną kapustą. Mieszany kompot. Kolacja: Szpinak z sadzonemi jajami.
Czwartek **24** Rafała Arch. 27 Tiszri	Zupa kalafiorowa. Faszerowane pomidory z makaronem. Zrazy zwijane z grzybkami i kaszą. Szarlotka z jabłek w kruchem cieście. Kolacja: Strudel z kaszą tatarczaną.
Piątek **25** Kryspina 28 Tiszri	Barszcz zabielany. Fasolka szparagowa. Sandacz z twardem jajem. Legomina biszkoptowa z bitą śmietaną. Kolacja: Ziemniaki wypiekane z jajami.
Sobota **26** [E]warysta [29] Tiszri	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa w sosie cebulowym. Pieczeń sarnia z bruszniocami. Jabłka w szlafroku. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.

HOCKI-KLOCKI

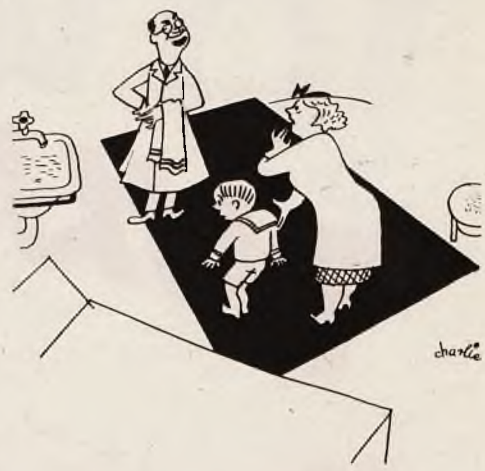
HUMOR ZAGRANICZNY.



(Dessin de Dubout.)

— *No, dosyć już żartów! Teraz pójdziemy na posterunek.*

POCZĄTKUJĄCY.



— *Panie doktorze, mój synek połknął guzik!*
— *E, to głupstwo, ja takiego widziałem, co połykał szpady!*

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. ŚMIERĆ HRABIEGO.

W jednej z codziennych gazet ukazała się następująca wiadomość:

„Znany w szerokich kołach towarzyskich hrabia P. zmarł nagle w ostatnią niedzielę. Dnia tego udał się, jak zwykle, z żoną do kościoła na sumę. Dzień był niezwykle gorący i hrabia zdrzemnął się podczas kazania. Przyśniło mu się, że jest szlachcicem francuskim podczas rewolucji. Został skazany na śmierć i po wprowadzeniu na szafot, położono mu głowę pod nóż gilotyny.

W tej chwili żona, widząc że hrabią zasnął, uderzyła go lekko po karku trzymaną w ręce książeczką do nabożeństwa. Nagłe uderzenie w związku ze snem, przyprawiło hrabiego o wstrząs tak wielki, że zmarł natychmiast na udar sercowy".

Wiadomość ta jest oczywiście wyssana z palca. Dlaczego?

2. DWÓCH PANÓW.

Pan Stefan Romanowski ma 50 lat i jest dwa razy starszy od pana Romana Stefanowskiego. Za ile lat pan Roman Stefanowski będzie miał 7/12 wieku pana Stefana Romanowskiego.

3. ZAKUP NAPOJÓW.

Z okazji wielkiego przyjęcia, pewien pan kupił sto butelek napojów za ogólną sumę 2000 zł. Najszlachetniejsze wina były w cenie 100 zł. za flaszkę, likiery po 20 zł. i wódki po 1 zł. Po ile więc ów pan kupił butelek wina, likierów i wódki? Rozwiązanie nie jest zbyt prawdopodobne życiowo, ale tem nie mamy powodu się martwić.

4. MĄDROŚĆ PADYSZACHA.

Soliman Mądry (jak głosi stara legenda), gdy ilość jego dzieci dobiegła setki, uznał, że jest ich, jak na jego potrzeby zadużo i że spełni dobry uczynek, jeśli częścią ich obdarzy tych, którym się pod tym względem gorzej powiodło. Teściowej swej posłał w dowód szacunku połowę ilości, przeznaczonej na rozdanie *plus* pół dziecka; swemu wielkiemu wezyrowi, któremu niebiosa odmówiły łaski potomstwa, połowę reszty i pół dziecka; ulubionemu baszy połowę pozostałych i pół dziecka, a resztę przeznaczonych na rozdanie dzieci, podzielił równo między pięciu bezdzietnych, lecz zasługujących na dzieci szanownych obywateli swego kraju. A jednak (jak głosi legenda), ani jednego dziecka nie rozcięto na dwie części. Ile dzieci padyszach pozostawił dla siebie?

5. PIĘĆ PRZYJACIÓŁEK.

Pięć przyjaciółek ukończyło w tym samym roku znaną pensję panny Staropanieńskiej Po roku trzy z nich spotkały się nad morzem. Były to Marysia, panna Pączek i panna Różyczka.

W latach następnych spotykały się jeszcze następujące przyjaciółki:

Ania i panna Różyczka były razem w Zakopanem, a Ewa i panna Gąska w Krynicy.

Marysia odwiedziła swą przyjaciółkę w Łodzi.

Panna Różyczka bawiła tydzień u swej koleżanki w Wilnie.

Panna Kózka mieszkała w Warszawie, panna Pączek w Toruniu, a panna Tyczka też na Pomorzu, lecz ani Ewa ani Zosia na Pomorzu nigdy nie były.

Która z przyjaciółek mieszkała w Grudziądzu i gdzie mieszkała Stasia?

Rozwiązanie z N-ru 33.

1. URZĘDNICZE PENSJE.

Lepsze warunki uzyskał X, gdyż rocznie pensja jego wynosiła o 50 zł. więcej od pensji Y. W pierwszym roku Y dostał 1000 zł., X zaś w pierwszem półroczu 500 zł., a w drugiem 550 zł., czyli w sumie 1050 zł. W następnym roku Y dostał 1200 zł., X zaś 600 + 650 = 1250 zł., itd.

OSTROŻNOŚĆ!



— *Czemu to pan ma tak smutną minę?*
— *Moja żona wybiera się na wieś, jak będę weselszy, gotowa pozostać.*

PRAWDZIWY GENTLEMAN.



— *I ty na to nie reagujesz?*
— *Nie mogę, niestety, nie mam bowiem przy sobie biletu wizytowego!*

To warto poznać..



Potężną tragedję **Szekspira „Król Lear"** wystawił, jak to już notowaliśmy, **Teatr Polski w Warszawie.** Przedstawienie zostało przygotowane przez Schillera z dużą starannością. Sukces artystyczny widowiska jest duży, choć krytycy stwierdzają, że od całego przedstawienia wieje dziwny chłód. Rolę tytułową gra Józef Węgrzyn, który jak pisze Boy-Żeleński, „wyglądał wspaniale, mówił pięknie, zrobił wszystko co mógł, aby wzruszyć i wzruszył spewnością wielu. „W rolach córek szlachetną Kordelją jest p. Lubieńska, Reganą młodziutka Andryczówna, a Gonerylą Grabowska. Dobrze grają Brydziński, Wierciński, Kreczmar, Damięcki, Dominiak, Kondrat, Wyrzykowski i inni. Dekoracje dał Śliwiński, a piękne kostjumy Lorentowicz-Karwowska.

Zbliża się dziesiąta rocznica zgonu wielkiego pisarza, **Stefana Żeromskiego.** Teatry postanowiły uczcić tę rocznicę wystawieniem sztuk autora „Przedwiośnia". „Ateneum" w Warszawie zapowiada „Turonia" z Jaraczem w roli Szeli, a **Teatr Kameralny** rozpoczął sezon dramatem **„Ponad śnieg"**. W związku z tą premjerą pisze Kazimierz Wierzyński, że Żeromskiemu trudno było zmieście się w dramacie realistycznym. Żeromski to natchniony liryk, który „krążył najwyższym lotem ponad ludzkiem sercem, burzył je nieposkromioną namiętnością i porywał bezpamiętnem uniesieniem. Dopiero w tej ekstazie uczuć, w zachwyceniu lub w rozbiciu, odkrywał nam szczęście, od którego traciło się dech, lub łamał nas ciosami, po których nie było żadnej radości życia. Służył mu do tego język najczarowniejszy, nazwy nie do zapomnienia, słowa rozkołysane i śpiewne, jak nuty. Był to pierwszy Szopen prozy polskiej i drugi Szopen wzruszenia polskiego".

Przedstawienie w Teatrze Kameralnym jest staranne, reżyserował Benda, a główne role grają Grywińska, Jasińska (bardzo dobra Rudomska), Kornacka, Benda, Roslan, Kwiatkowski.

Komedję Żeromskiego **„Uciekła mi przepióreczka"** gra **Teatr Miejski w Łodzi**, korzystając z gościnnych występów Juljusza Osterwy, który, jak wiadomo, jest doskonałym Przełęckim. Partnerami Osterwy są Niedźwiecka, Bronowska, Hierowski, Matuszkiewicz, Zoner i inni.

W **Krakowie** Kazimierz Junosza-Stępowski kończy gościnne występy kreacją w **„Rozbitkach" Bilzińskiego.** Jego Czarnoskalski to arcydzieło obserwacji i humoru.

Z ciekawą prapremjerą wystąpił **Teatr na Pohulance w Wilnie.** Jest to sztuka **W. M. Kirszona** p. t. **„Cudowny stop"**, nagrodzona na konkursie dramatycznym Z. S. S. R. Autor daje w niej obraz życia młodzieży komsomolskiej, pracującej w brygadach naukowych.

(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

W numerze poświęconym pamięci Marsz. Piłsudskiego zamieścił „As" wspomnienia osobiste wielkiego samotnika belwederskiego, zwierzone długoletniemu adjutantowi mjr. Lepeckiemu. Wspomnienia te zatytułowane „Ziuk w szkole", są fragmentem książki mjr. **Lepeckiego**, która ukazała się obecnie p. t. **„Od Sybiru do Belwederu"**. (Nakład Inst. Biblj. Polskiej). Książka ta przeznaczona jest dla młodzieży, ale przeczyta ją niewątpliwie każdy. Pisana jest stylem miłym i barwnym. Przedewszystkiem maluje mjr. Lepecki atmosferę dworu rodzinnego w Zułowie, atmosferę rodzinną, w której wychowywał się przyszły wódz. Młodość zadzierżystego chłopaka, lata gimnazjalne z niesłychaną nienawiścią do języka rosyjskiego, lata uniwersyteckie, praca rewolucyjna, zesłanie na Sybir, późniejsze walki konspiracyjne o niepodległość, okres legjonowy aż po triumf 1920 r. — oto skrót sugestywnych obrazów książki mjr. Lepeckiego.

Bardzo miłem widowiskiem na scenach amatorskich i w teatrach szkolnych będzie niewątpliwie **„Sen bacy"**, melodramat górski, ułożony przez **Emila Mikę**, według oryginalnych melodyj orawskich. Jest to inscenizacja piosenek ludowych o starym bacy, który wsłuchuje się z rozkoszą w życie hali na kilka chwil przed odejściem stamtąd na zawsze. Tęsknota do piękna i uroku gór, skoczne i rzewne pieśni ludowe, oryginalna gwara, oraz prosta i łatwa inscenizacja, oto zalety widowiska.



Niedziela, 20 X. 1935.

10.00: Nabożeństwo z Krakowa.
12.15: Poranek muzyczny z Krakowa.
14.00: Fragment z książki „Biali i czarni".
14.2?: Muzyka z płyt.
16.00: Audycja dla dzieci z Wilna.
17.40: Migawki regjonalne.
18.00: Piosenki — śpiewa Maryla Karwowska.
18.30: Słuchowisko „Sekretarka niewidomego".
21.00: „Wesoła Lwowska Fala".
21.30: „W Świętokrzyskich Górach" — feljeton.
22.00: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
23.05: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 21 X. 1935.

12.15: Mała orkiestra P. R.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Tercety wokalne i pieśni.
16.45: Skecz — „Miłość i bridge".
17.20: Zespół jazzowy Henryka Marmora.
17.45: „Polskie rybołóstwo morskie w ostatnich latach" — pogadanka.
17.55: „Kwintet fortepianowy e-moll" — Różyckiego.
20.30: Muzyka.
21.30: „Wileńska młodość Juljusza Słowackiego".
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 22 X. 1935.

12.35: Zespół salonowy Pawła Rynasa.
16.15: Zespół Zygmunta Grossmana.
17.00: Film rysunkowy — odczyt.
17.15: Koncert z udziałem St. Podgórskiego.
18.00: Recital fortepianowy.
18.30: „Warszawa w literaturze i anegdocie" — szkic literacki.
18.45: Muzyka lekka.
19.58: Koncert europejski z Wiednia.
22.15: „Obrazki z Polski współczesnej".
22.20: Fragmenty z „Złota Renu" — Wagnera.
22.45: „Europejczyk się bawi" — feljeton.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 23 X. 1935.

12.15: „Maglowanie i prasowanie bielizny" — pogadanka.
12.30: Muzyka lekka.
15.30: Zespół Niny Mańskiej.
16.00: „Kilof bije — węgiel pryska" — pogadanka muzyczna dla dzieci.
16.20: Pieśni w wykonaniu Wandy Ruśkiewiczówny.
17.20: Recital skrzypcowy Józefa Kamińskiego.
17.50: „Świat się śmieje".
18.00: Muzyka lekka.
18.45: Soliści na płytach.
20.00: Muzyka lekka.
20.55: „Obrazki z Polski współczesnej".
21.00: VIII audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.30: Szkic literacki dr. Tadeusza Boy-Żeleńskiego.
22.00: Koncert religijnej muzyki żydowskiej.
22.30: Muzyka taneczna.

Czwartek, 24 X. 1935.

13.00: Sonata d-moll — Bacha.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Pogadanka Starego Doktora.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.00: „Kolonje angielskie i francuskie w Afryce".
17.15: Zespół Adamskiej-Grossmanowej.
17.50: „Tatry i Podhale" — o książce Rafała Malczewskiego.
18.45: Tola Mankiewiczówna i Mieczysław Fogg.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: Słuchowisko „Kapitan statku „Siweking".
21.35: „Nasze pieśni".
22.00: VI-ty koncert historyczny z Krakowa.
23.05: Muzyka taneczna.

Piątek, 25 X. 1935.

12.40: Fantazje i fragmenty z oper.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.45: „Chwilka pytań".
17.00: Reportaż z Polskiej Wystawy Pływającej w Chinach.
17.15: Wiersze o dzieciach — Juljana Eysmonda.
17.20: Recital Ady Leńczewskiej-Sławińskiej.
17.50: Poradnik sportowy.
18.00: Koncert kameralny.
18.45: Adam Aston i Mary Didur-Załuska — płyty.
19.50: „Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami".
20.00: Aktualny monolog.
20.10: Muzyka filmowa.
21.15: Koncert symfoniczny.
22.45: Muzyka lekka i taneczna.

Sobota, 26 X. 1935.

12.15: Koncert południowy z udziałem solistów.
14.30: Muzyka lekka.
15.30: „Fanfara polska".
16.15: Recital skrzypcowy.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.45: „Świat naszych zwierząt" pogadanka.
18.00: Słuchowisko dla dzieci.
18.45: Muzyka szwedzka.
20.00: „Gdyśmy byli studentami" — lekka audycja muzyczna.
20.55: „Obrazki z Polski współczesnej".
21.30: Humor regjonalny.
22.00: Koncert popularn[illegible]
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.